

# TYDZIEŃ POLSKI

TREŚĆ: Między Cannes a Genuą. — *I. Moszczeńska*: Nowy ład. — *Int. Alexander Ringman*: Spór o Jaworzynę Tatrzańską. — *I. W. Kosmowska*: Ordery i odznaczenia. — *Jan Lorentowicz*: Ku nowej sztuce. — *Z niewydanych fragmentów „Pamiętnika” Amiel’a*, przełożył *W. R.* — *Eugenjusz Świerczewski*: Eksperyment teatralny w Polsce. — *Literatura i sztuka u obcych.* — *Leon Paździwiaty*: Z piśmiennictwa. — *Prof. Marjan Dubiecki*: Kilka myśli o Powstaniu Styczniowym (odcinek).

## Między Cannes a Genuą.

Rząd Poincaré'go to — niezależnienie polityki francuskiej od Anglii. W tem istotna treść zmiany ministerjalnej we Francji. Prawda, i Briand nie szedł zupełnie na pasku Lloyd George'a. Sprawa Górnośląska, umowa Wiesbadeńska i wreszcie ostatnie świetne zwycięstwo Francji na Bliskim Wschodzie — traktat z Angorą — świadczą że polityka Brianda nie zawsze była posłusznym narzędziem Lloyd George'a, że Briand miał chwilę tryumfu w trudnej grze z takim partnerem, jak premier angielski. Ale Briand upadł dla tego, że nie umiał wyzyskać tych zwycięstw swoich i w chwili, gdy Francja mogła zrobić jeszcze krok naprzód po drodze niezależnienia swej polityki od Anglii, jej kierownik się cofnął i poszedł drogą, wytkniętą przez Lloyd George'a.

Chwila obecna jest bardzo sprzyjającą dla Francji i nie pomyślną dla Anglii: Francja po zawarciu traktatu z kemalistami stanęła mocno na Bliskim Wschodzie, ma po swojej stronie cały świat muzułmański i w Azji i Afryce, Anglia ma przeciw sobie cały ten świat i jest zagrożoną w najdotkliwszym punkcie — w Indiach, gdzie sprawy Biorą bardzo poważny i zły dla anglików obrót. Francja jest w stanie bardzo zaszkodzić lub dopomóc Anglii w jej sprawach wschodnich i dla tego jest moment, kiedy Francja może postawić stanowczo i jasno swoje warunki, a nie ulegać bezwzględnie Anglii w imię utrzymania Entente'y.

Powszechnie jest uznawaną za aksjomat niemal teza, że w porozumieniu angielsko-francuskim Francja powinna przystosowywać się do Anglii, bo ta jest silniejszą. Bezprzecznie Anglia jest większą i silniejszą od Francji, ale w chwili obecnej Anglia jest w położeniu człowieka, który mając pełne garście kasztanów, nachyla się by podnieść z ziemi jeden zgubiony kasztan i rozsypane inne. Francja ma o wiele mniej w rękę, ale to, co ma, trzyma mocno w dłoni.

Dlatego Anglia mimo swej potęgi, schyla się to w jedną, to w drugą stronę. Francja nie potrzebuje ani nachylać się, ani odchyłać się i może iść prosto, trzymając się raz wytkniętej linii. Ostatnie dzieje polityki angielskiej i francuskiej na wschodzie są najlepszym tego dowodem.

Anglia chcąc powstrzymać bolszewików od agitacji w Indiach i krajach muzułmańskich, zaczęła kokietować z Sowietami. Celu jednakże nie dopięła, od bolszewików nic nie uzyskała, straciła Afganistan i Persję, przegrywa w Malej Azji, traci wpływ w Arabistanie, jest zagrożoną w Indiach i w Egipcie.

Francja nie robiąc żadnych ustępstw bolszewikom, potrafiła odciągnąć od nich kemalistów<sup>1)</sup> i podkopać przez to sojusz bolszewicko-muzułmański, oparty bynajmniej nie na sympatjach świata muzułmańskiego ku bolszewikom, a tylko na tem, że sowieckie państwo było jedynem, które występowało przeciw Anglii i obiecywało pomoc narodowi muzułmańskiemu.

Francja, zapoczątkowawszy przyjazną politykę wobec narodów muzułmańskich, wytrąca w Azji broń z ręki bolszewików, zbankrutowanych w Rosji i w Europie. Anglia opiera swoje polityczne i ekonomiczne nadzieje na sojuszu ze zbankrutowanymi bolszewizmem i „odbudowie” Rosji przy rządach sowieckich.

Lloyd George, zwołując konferencję Genuą z udziałem bolszewików w celu odbudowy Europy i Rosji, pozyskał oklaski tych wszystkich, którzy lubią iść po linii najmniejszego oporu, nie chcą widzieć przykrej prawdy i słowa gotowi są brać za czyny i fakty.

„Odbudowa” Europy i Rosji rozpoczęta z udziałem bolszewików, to właściwie odwiekanie momentu prawdziwej odbudowy, która nie da się pomyśleć bez sanacji stosunków społecznych

<sup>1)</sup> O polityce francuskiej na Bliskim Wschodzie patrz krótki, ale nadzwyczaj treściwy artykuł p. Jerzego Szuriga „Zagadnienia Bliskiego Wschodu” w ostatnich numerze „Wschodu Polskiego” (Nr. 10 — 12).



a sanacja wymaga radykalnej likwidacji bolszewizmu.

To nie ma znaczenia, że bolszewizm niby „ewolucjonuje“, że hasła komunistyczne zmienia na hasła kapitalistyczne. Rząd sowieński tak samo nie odbuduje kapitalizmu w Rosji, jak nie nasadził komunizmu (bo komunizmu przecież w Rosji nie było), a pod hasłami kapitalistycznymi będzie prowadził tą samą niszczącą organizm społeczny robotę, którą prowadził pod hasłami komunistycznymi. Nie o hasła chodzi, lecz o istotę bolszewizmu, który jest produktem rozkładu społecznego i organizacją destrukcyjnych pierwiastków. Wszelkie zatem plany zmierzające jakoby do odbudowy Rosji, chociaż by tylko ekonomicznej, a jednocześnie wspierające władzę sowieńską są albo nie-uświadomieniem istoty bolszewizmu, albo świadomym mydleniem oczu.

Wytrawny znawca polityki gospodarczej Anglii i międzynarodowych stosunków finansowych p. Henryk Tennenbaum w swym świetnym referacie na temat „Odbudowy Rosji“ w Towarzystwie Ekonomistów i Statystyków Polskich scharakteryzował plan odbudowy Rosji Lloyd-George'a-Stinnesa, jako „wybieg angielsko-niemiecki“. P. Tennenbaum, nie poruszając warunków politycznych powodzenia nowego planu odbudowy Rosji, a badając tylko jego podstawy ekonomiczne, stwierdził, że nie można go traktować poważnie. Niepoważny charakter tego planu jeszcze więcej wydłuża się, jeżeli uwzględnimy warunki polityczne. Tak, osławiony plan odbudowy Europy i Rosji jest niczem innym tylko nowym wybiegiem genialnego „gracza“ jakim jest Lloyd George.

Poincaré doskonale orientuje się w sytuacji. Wie, że Francja bez obawy o los swój może zająć stanowisko wobec Anglii niezależne, i że nie Francja przeszkadza odbudowie świata. Dziełu tej odbudowy, jeżeli traktować ją szczerze i poważnie, francuska polityka siły i szczerości lepiej

służy, niż wszystkie na słabości oparte ludzące plany Lloyd George'a.

I losy świata, losy jego odbudowy prawdziwej w znacznej mierze od tego zależą, jaką drogą pójdzie polityka europejska: droga Anglii czy Francji? Nad tem zagadnieniem musi ludzkość zastanowić się w międzyczasie, który dzieli zerwaną konferencję w Cannes od projektowanej konferencji w Genewie.

## NOWY ŁAD.

Gdy tragedia wielkiej wojny dobiegała do końca, panowało ogólne mniemanie, że jest ona epilogiem jednej epoki dziejowej i jej nieuchronnym logicznym wynikiem, po niej zaś — równie logicznie i nieuchronnie — zacznie się nowa era, zdawna zapowiadana przez proroków przewrotu. „Stary świat zawałił się w gruzy“, jak to corocznie 1-go maja obwieszczano; przyszła kolej na zaprowadzenie „nowego ładu“ wedle dobrze znanej nauki, nierozzerwalnie związanej z tem proctwem. Zaiste, trudno było nie uleść złudzeniu; wszystko niemal działo się tak „jak zapisano w piśmie“. Imperjalizm, militarizm i kapitalizm pogrzebał sam siebie; z niemi razem rozsypały się w gruzy przeżytki starodawnych tradycji: runęły najstarsze trony, korony walały się w prochu. Tryumf nowej wiary doszedł do szczytu, gdy w największym z mocarstw Europy i jednym z największych świata proletariata — obaliwszy kolejno i monarchję i burżuazję — sam niepodzielnie chwycił władzę w ręce. „Precz z tyranią, precz z zdziercami“, „wylaszczanie przywłaszczycieli“ — i wszystkie inne ideały utopjami zwane weszły w fazę realizacji. Pozostawała tylko drobna reszta, którą chyba nietrudno wykonać, gdy tak wiele stało się samo, mocą nie-

## Kilka myśli o Powstaniu Styczniowym.

Liczne pióra, które w ciągu ubiegłych kilkudziesięciu lat kreśliły większe lub mniejsze monografie i szkice o Powstaniu Styczniowym, nie zwracały uwagi na niektóre cechy charakterystyczne, jakie spostrzegamy podczas walk doby ówczesnej.

Przedewszystkiem żadne z powstań naszych nie objęło tak wielkich obszarów, jak Powstanie Styczniowe. Kościuszkowskie lub Listopadowe walki nie sięgały poza Dźwinę, do Inflant polskich; nie walczyły na dalekich kończynach ponad górny Dnieprem; nie poruszył się żaden Kaszuba, by biedz pod Mławę lub Płock dla połączenia się z powstańcami. I o pomorskich kresach kłóży wówczas myślał. O lesiste wybrzeża Irpenia pod Kijowem nie obijało się echo nawoływań bojowych ani za dni Kościuszki, ani podczas powstania 1831 r... Tymczasem w roku 1863 wytrysnęły we wszystkich tych okolicach większe lub mniejsze zbrojne ruchy; niekiedy wprawdzie chwilowe,

szybko i srodze uśmierzone, twardą pięścią represji gwałtownej tłumione; lecz niemniej krew naszej młodzieży, przelana w wielu potyczkach, wyraźnie zarysowała wschodnie i północne granice dawnej polskiej Rzeczypospolitej... Przypomniały się światu tak dalece te stare miedze nasze, iż Murawjew uważał za stosowne, a nawet konieczne, obsadzić strażą z wieśniaków rdzenie rosyjskich granic północną Rzeczypospolitej... Przeszła ona poza Korszówką, na Inflantach polskich, tylko o 365 kilometrów od Petersburga...

Tymczasem słuszność zupełną miał Murawjew: linja owych straży szła śladem kopców granicznych, oddzielających niegdyś państwo Polskie na północy od dziedzin państwa rosyjskiego. Straż zaś miała na celu przeciąć wszelką komunikację zrewoltowanych prowincji polskich z Rosją, by powiewy wolności tam się nie przedarły.

Mówiono wówczas, że ze sfer kierujących polityką we Francji, skąd płynęły mniej lub więcej wyraźne nadzieje zbrojnej interwencji w naszej sprawie, rzucone było walczącym hasło: jak daleko posunie się powstanie na wschód, tak daleko sięgną granice Polski wyzwolonej“...



powstrzymanego biegu historii, którą mędracy przewidzieli i odgadli. Więc jeszcze tylko solidarny wysiłek międzynarodowego proletariatu miał dokonany przewrót rozszerzyć na wszystkie kraje i ludy, jęczące dotąd pod jarzmem kapitalizmu, rozwiązać wszystkie armje, znieść wszystkie granice, uznać prawo każdego narodu do stanowienia o sobie — oczywiście w ramach socjalistycznego ustroju i t. d.

Niesłuchanie szybko nastąpiło rozczarowanie, zawód — a dziś, zaledwie po trzech latach prób, eksperymentów, wysiłków, ten rzekomo nieuchronny, niepowstrzymany prąd dziejowy znajduje się w pełnym odwrocie.

Gdy wśród strasznych wstrząśnień gwiazdy przedwojennych ideałów pospadały na ziemię, przekonano się naocznie i dotykalnie, że to, do czego się modlono, nie jest wcale piękniejsze od tego, po czem deptano.

Trudno już dziś wyobrazić sobie, że antykapitalistyczna, rewolucyjna propaganda, krzewiona przez Republikę Sowiecką, przyjmie się gdziekolwiek, gdy też republika u siebie przywraca stare porządki, zaczynając od militarystyki, imperjalizmu, despotyzmu — kończąc na wolnym handlu i ubieganiu się o względy i pomoc kapitalistów zagranicznych. Komunizm, gdy stał się towarem wyłącznie eksportowym, rynków zbytu już znaleźć nie może.

Bolszewizm, to nie cały socjalizm, to tylko jedna jego odmiana chorobliwie spaczona; jego bankructwo nie decyduje o bankructwie całej doktryny. Można się na to zgodzić, ale niezmiernie trudno odszukać dziś jakąś przekonującą próbę czystego, niespaczzonego i istotnie zbawczego socjalizmu, który mógł wzbudzić nową wiarę w tryumfy czerwonego sztandaru. A przecież w ostatnich kilku latach różnych częściowych prób czyniono bardzo wiele; nieomal każdy punkt programu minimalnego lub maksymalnego był w różnych warunkach wprowadzany w życie

i żaden nie przyniósł zapowiadanych korzyści. Nawet tak skromne, zupełnie minimalne, raczej przedwstępne żądanie 8-mio godzinnego dnia roboczego — może skądinąd słuszne — nigdzie nie zwiększyło, jak obiecywano, wydajności pracy, przeciwnie, obniżyło ją wszędzie znacznie więcej, niż przypuszczano. Normowanie płacy wedle potrzeb pracującego, a nie wedle jej wartości, również okazało się zgubnym dla wytwórczości ogólnej, a stąd i dla dobrobytu. Antydrożyzmiane prawa nie zapobiegły drożyznie, a ruchoma skala płac nie zdołała podążyć za jej wzrostem. Im więcej regulowano, normowano, ustalano, tem bardziej wszystko stawało się niepewnym, chwiejnym, nieobliczalnym.

Zarówno budżety państw, jak budżety prywatnych rodzin, gubią się w kombinacjach liczb niewiadomych. Zatraciła się wszelka pamięć o jutrze przy niemożności ujęcia tego jutra w jakikolwiek rachunek prawdopodobieństwa. Wbrew doświadczeniom wieków, doświadczenie kilku lat ostatnich wykazało bezużyteczność pracy i oszczędności jako dróg do dobrobytu. Rewolucyjny wojenny pochłonięły wszystkie przedwojenne oszczędności, a uniemożliwiły nowe, w najlepszym razie rzucając je na spienione fale nieustannych wstrząśnień gospodarczych. Każda lokata jest dziś spekulacją, a każdej spekulacji wynik zagadkowy.

Ta powszechna niepewność, chwiejność, płynność i chaotyczność położenia dręczy wszystkich i poszczególnych ludzi, i ludy, i całe państwa; zwycięzców i zwyciężonych, zubożałych i zubożających.

Zewsząd dochodzą wieści o przesileniu ekonomicznym; wszędzie świat się dzieli na tych, co nie mają za co kupić, i tych, co nie mają komu sprzedać. Tym sposobem ruina jednych uboży innych, mści się nawet na tych, co się na niej dorobili. Wierzycciele, zagrożeni bankructwem dłużników, okazują im macierzyńską pieczołow-

Sądzę, że te hasła ze sfer rządowych francuskich nie wyszły, że są legendą późniejszą; w każdym zaś razie nie mogły wpłynąć i wcale nie wpłynęły na szybkie, a tak bardzo szerokie rozlanie się powstania, iż jego echo powstawszy nad Wisłą, znalazło oddźwięk w okolicach zaniemańskich i zabużańskich, przedarło się za Dźwinę i posłyszano wreszcie szczęk oręża powstańczego na dalekich, wschodnich skrajach Polski.

Był to objaw samorzutny społeczeństwa, które jeszcze swym życiem niezbyt odległe było od doby brzemiennej wielu nadziejami wojen Napoleońskich, dla którego tradycje czasów przedrewolucyjnych były tak bliskimi, jak dla dzisiejszej młodzieży Powstanie Styczeńowe... Jeszcze w Warszawie ówczesny żył niejeden starzec, który słyszał w latach swych dziecięcych jęk wyrzynanej Pragi przez żołdaków Suworowa, a Wilno dobrze pamiętało, jak Jasiński wypędził Moskwę poza Ostrą-Bramę.

Tradycje niepodległości z całą mocą górowały w umysłach, wzdychano do jej powrotu, nie przypuszczano, że zaledwie XIX stulecie upłynie, instynkt dążności do bytu niepodległego zostanie wśród znacznej części społeczeństwa zatracony.

Nietylko owo szybkie rozszerzenie się Powstania Styczeńowego po całym obszarze zaboru rosyjskiego i udział w niem znaczny dwóch innych zaborów jest objawem charakterystycznym tamtoczesnej chwili dziejowej, lecz zasługuje na szczególną uwagę, iż każda z rzeszonych dzielnic z niem się solidaryzowała, uznawała za swe narodowe; wszystkie, bardziej lub mniej umiarkowane, czy też ruchliwsze koła społeczeństwa czynem, myślą, ofiarnością, niejednokrotnie znaczną, składały dowody zupełnego zespolenia się z tą walką krwawą...

Stawali w szeregach ofiarnych i możni i uboży, ordynaci i szaraczki z zaścianka, i jeden i drugi niósł swój grosz do skarbnicy potrzeb narodu... Podobnie i w zbrojnych szeregach i w zabiegach, trudach organizacji cywilnej, obok synów starych rodów, widziano pracujących, walczących, ginących — młodzieńców, starców, ludzi dojrzałych i pacholeta, zaledwie dobiegające do dni młodości, którzy wyszli z pod ubogiej, małomiasteczkowej strzechy, lub z warsztatu rzemieślnika... Wszyscy poczuli się do pewnych obowiązków wobec sprawy narodowej, nikt nie usuwał się, nie wymawiał, nie zasłaniał się fałdami jakiegoś partyj-



tość i troskliwość, by im tylko siły przywrócić, ci zaś na złość pędzą do ruiny własnej, by we wspólnej niedoli zrównać się i niezależność odzyskać.

Państwo przyszłości nie okazało się bynajmniej rajem przyszłości lecz jakąś otchłanią, która pożarła dorobek wieków, a której dna dotąd nie widać.

Nie mniejszy zamęt, niż w ekonomicznych, zapanował również i w politycznych stosunkach. Od chwili zakończenia wojny nieprzerwanie ciągną się konferencje, mające cały ustrój świata ustalić, unormować, powierzchnię Europy a częściowo i innych części świata podzielić, rozgraniczyć — a przyjmując za zasadę „stanowienie ludów o sobie“, wskazać dobitnie każdemu ludowi, jak mu o sobie postanowić wolno. Wszyscy dyplomaci wielkich mocarstw są w nieustających podróżach. To jeżdżą na narady, odbywające się w różnych okolicznościach i pod różnaitą formą, to zwiedzają kraje sporne i badają stosunki, o których mają decydować nie mając o nich pojęcia; to w cichych, poufnych spotkaniach w cztery oczy, to na głośnych ponadpaństwowych trybunałach, zwolywanych pod kontrolą prasy całego świata, studjują geografję, historję i ekonomję mnóstwa ziem i ludów, wszystko jedynie na to, by się przekonać, jak bardzo są zawikłane sprawy, któremi się zajmują i jak one wikłają się coraz więcej, im więcej się niemi zajmują.

Dyplomaci są w ruchu, ale dyplomacja nie posuwa się naprzód, tylko wciąż się kręci wokół tych samych węzłów, splątanych w postaci różnych „kwestji“, liczniejszych dziś, niż przed wojną.

„Kwestje“ — jak wiadomo — powstają w polityce wtedy, gdy jedno lub kilka państw zaczynają się wtrącać do spraw innego państwa. Dziś, gdy wchodząc w skład Ligi Narodów, wszyscy mają

nego sztandaru, by pracy uniknąć, życie, bądź mienie zachować...

Każdy, kto dziś poważnie zechce studjować owe dni niezwykle w życiu naszym dziejowym, w mych słowach przesady nie znajdzie. Fakta same za siebie mówić będą i wskażą prawdę mych słów...

Duchowieństwo w Powstaniu Styczniowem tak wielki, powszechny udział wzięło, jak w żadnym z poprzednich, chociaż wróg srożył się i postawił nad niem, wcale nie ukrywając, iż jednym z głównych celów Moskwy w Polsce jest ustalenie prawosławia nad Wisłą — jak go już zaszczerpiono między Dnieprem a Bugiem, i poniesienie jego sztandaru nad Łabę, w głąb Europy.

Duchowieństwo polskie ówczesne, szczególnie w Królestwie, na Żmudzi, i w innych prowincjach Rzeczypospolitej, również świeckie, jak i zakonne, zszeregowało się w obronie ideałów narodowych i religijnych, wstrzymało nacisk schyzmy na Polskę, broniło wschodnich szańców katolicyzmu... W tej szlachetnej obronie poniosło ono strat niemało. Wieszano księży za to, że nieśli słowo pociechy religijnej; tracono ich rów-

prawo wtrącać [się do wszystkiego, gdy np. Japonji przyznano głos w sprawie Górnego Śląska a Hiszpanji w sprawie Wilna, liczba kwestji, stanowiących temat obrad międzynarodowych, może rosnąć w nieskończoność, tam zaś, gdzie Liga Narodów, jako taka, otrzymuje stały mandat, jak w Gdańsku, tworzy się kwestja nieśmiertelna, ciągle otwarta, niewyczerpane źródło zawikłań. Nie można się dziwić, że w danych warunkach zjawiają się twory polityczne koczownicze, wędrujące z konferencji na konferencję, nieznane prawie w kraju, z którego się legitymują, istniejące tylko jako wszędobylska „kwestja“.

Gdy się w ten sposób rozejrzymy po świecie, musimy dojść do wniosku, że narazie „nowy ład“ okazuje się tylko nieprzewidzianie rozległym i głębokim nieładem i zrozumieć możemy powszechną, żywiołowo wzmagającą się tęsknotę ludów za jakimkolwiek ustalonym porządkiem.

Wyrazem tej tęsknoty była ogromna popularność konferencji waszyngtońskiej i ogromne nadzieje, przywiązane do zapowiedzianego Kongresu odbudowy w Genui. Tu przypomnieć warto, że już w Waszyngtonie zapowiedziano nową, wyłącznie gospodarczej odbudowie poświęconą konferencją i że projekt Lloyda George'a był może przez tę zapowiedź wywołany. Anglja spieszy się ubiedz Amerykę w inicjatywie, nie chcąc dopuścić, by ster spraw świata przeszedł w ręce jej zamorskiej krewnej i rywalki zarazem. To też dotychczas Stany Zjednoczone zaopatrują bardzo poważnemi zastrzeżeniami odpowiedź na zaproszenie do Genui, a odmowa ich byłaby wielce kłopotliwą, łatwo bowiem zrozumieć, że w nieobecności głównego wierzydela i bankiera odbudowy gospodarczej zrealizować nie można.

Sam plan konferencji jest bardzo ciekawy i symptomatyczny.

Nie było dotąd tak szeroko zakreślonego kongresu, miałby się on bowiem odbywać z udziałem

niez w Warszawie, na stokach cytadeli, w Wilnie, na Łukiszkach i w miastach mniejszych; dziesiątkami wysyłano ich na Sybir... Wówczas świeciły przykładem duchowieństwu naszemu nigdy niezapomniane postacie takich biskupów, jak Szcześniey Feliński i Paweł Rzewuski, dobrzy pasterze, co dawali życie za owieczki swoje; poszli i oni drogami wygnania, podobnie, jak całe zastępy kapłanów... Poszli też szlaki jasyru i inni biskupi, z których dwaj — biskup sejneński, hr. Łubieński, i unicki chełmski biskup-nominat Kaliński, zostali otruci w drodze na wygnanie, aby szybciej pozbyć się gorliwych obrońców katolicyzmu.

Zbrodnia dzika dokonana na Łubieńskim, to wielkie memento dla tych, co sądzą, że sprawiedliwość obudzi się w umysłach działaczy rosyjskich, iż porozumienie z Rosją możliwe. Łubieński do takich należał, ulegając złudzeniom, które od wieków snują się pod mrocznemi sklepieniami prastarych izb Watykanu, mniemał nie-szczęsnym, iż zbliża się chwila, gdy Rosja zjednaną być może dla katolicyzmu; wyciągał więc ku niej dłoń życzliwą. Na przyjaźń trucizną odpowiedziała Rosja, zawsze przebiegła, mściwa i okrutna, umiejąca w pole wyprowadzić najbiegłęjszych nawet



lem wszystkich zainteresowanych, przyjętych czy nie przyjętych do Ligi Narodów, winnych czy nie winnych wybuchu wojny i własnego zniszczenia, cierpiących na brak czy nadmiar pieniędzy i towaru.

A więc i Niemcy i Rosja Sowiecka i Bułgaria i Węgry, wczorajsi wrogowie, sprzymierzeńcy i neutralni, każdy, kto pomocy potrzebuje lub jej dostarczyć może, mają wspólnie radzić nad naprawą ruin zburzonej przez wojnę Europy. Żadne winy i zasługi nie piszą się w regestr, figurują w nim same cyfry. Nie to, co słuszne, lecz co celowe i użyteczne, ma być brane w rachubę. Wszystko to zaś — to całe pojednanie i wybaczenie nie ma się dokonać w imię żadnych haseł humanitarnych lub chrześcijańskich, lecz w duchu czysto handlowego interesu. Przywrócenie normalnej wymiany towarów, rynków zbytu jednym, źródła zaopatrzenia innym, kredytu i obiegu kapitałów, gwarancji dla własności, podniety dla dorobku, słowem — wskrzeszenie starego ładu — oto ideał, który genueńskim budowniczym przyświeca. Nie można się dziwić, że na taką konferencję zaprasza się i Rosję sowiecką i Niemcy. Rosja, wyczerpawszy do dna wszystkie „zdobycze rewolucji“, sama u siebie z wielkim poświęceniem przeprowadza przewrót odwrotny, stawia na nogi wszystko, co stało na głowie, z żalem spostrzegając, że ani nóg ani głów doliczyć się nie może. Nie udało się praw dyktować światu, widzi jasno, że jej świat podyktuje prawa i woli się godzić z tą koniecznością, niż brnąć dalej w przepaść, którą wykopała sama. Godzi się więc z kapitalizmem, a nawet go usilnie do siebie zaprasza. Niemcy nigdy na serio, nie wzięły z nim rozbratu; przeciwnie, rozwinęły go i udoskonaliły w sposób dotąd niebywały. Już nie syndykaty równoległych przedsiębiorstw lecz cała piramida wzwysz przez wszystkie szczeble wytwórczości, począwszy od kopalni węgla i kruszców, przez huty i walcownie aż do fabrykacji najsubtelniejszych, precyzyjnych przyrządów i instalacji elektrycznych,

stanowią jeden sprawnie funkcjonujący organizm, który przerabia całe bogactwo Niemiec. Kto stoi na czele takiej organizacji, ten rządzi krajem, decyduje o jego kredycie, o stanie skarbu, spłacie długów, ekspansji handlowej, zobowiązaniach i możliwościach gospodarczych. To też nic dziwnego, że w sprawach odbudowy nie z Kanclerzem Rzeszy lecz z panami Stimesem i Rathenauem toczą się konferencje i oni też pewno do Genui zaproszeni będą.

Jakże dalecy jesteście od tej chwili, gdy socjalizm międzynarodowy ludził się, że na gruzach kapitalistycznego świata on zlikwiduje wojnę i pokój zaprowadzi! Dziś raczej kapitalizm wskrzeszony triumfuje na zgłiszczach socjalizmu. — Tak jest *narazie* — ale im większa tęsknota za porządkiem i spokojem, tem większa będzie odporność przeciw wszystkim eksperymentom i nowatorstwom. Świat chce powrócić do swych przedwojennych nawyknień, coraz częściej ogląda się poza siebie, coraz mniej ufa nieznanemu, coraz chętniej polega na starym doświadczeniu.

W takich momentach dziejowych następuje zawsze okres reakcji.

Konferencja genueńska — czy się odbędzie, czy nie — jest jej zapowiedzią, jej wyrazem — zresztą nie jedynym.

Jakkolwiek ten zwrot nie został wyprorokowany przez myślicieli i nie wywiesza sztandaru żadnych haseł, niewątpliwie i do niego zostanie dorobiona jakaś ideologia, która go uświęci i z potrzeby żywiołowej uczyni zachwalaną cnotę. *Odbudowa nie przebudowa* jest dziś na porządku dziennym, ale w każdym razie hasłem będzie budowa i szukać się dla niej będzie podstawy w gruncie jaknajtrwalszym, więc też może najstarszym, najdawniej wypróbowanym. Nietylko w porządku ekonomicznym lecz w życiu duchowym, w obyczajach — wskrzeszać się będzie jakieś dawniejsze tradycje, te zwłaszcza, których doraźna użyteczność lub łatwa popularność będzie

dyplomatów, a Polacy wszakże nigdy nawet miernymi dyplomatami być nie umieli...

Marzenia i ludzenia się takie — nazwane później ugodą, a ludzący się ugodowcami — już po upadku powstania kielkować i puszczać coraz bujniejszy kłos zaczęły, w latach późniejszych zakwitły, gdy pęta niewoli coraz bardziej zacieśniano: podczas lat 1863 i 1864 od takich złudzeń dalekie było społeczeństwo...

Do późniejszych to pokoleń mówi nasz lirnik mazowiecki:

„Kto wierzy, że uglaska wściekłość Moskwy

Albo że sprawiedliwość w sferach tych obudzi,

Marzyciel nieszczęśliwy zbyt się słodko ludzi...

Nim tę glinę Prometej przekształtuje w ludzi,

Po jednej kat z toporem, po drugiej ofiara

Wciąż się czerwienieć będą, lub nad po-

Niewolników przeciągnie cisza zwana —

[zgodą“ ...

wie ojczystej, sprawiała, iż wstydziliby się, najo-  
bojenniejsi nawet, zwracać się bodaj myślą do  
Moskwy; nikt do Petersburga nie uciekał, jak to  
niektórzy, wyjątkowo wprawdzie, ale czynili za  
dni walki listopadowej, jak to znacznie później,  
w chwilach ważnych dla kraju, uczynili inni...  
Nawet Wielopolski nie pojechał do Petersburga,  
by „mącić w kadzi narodowej“, ale wyruszył na  
wyspę Rugję...

Wszystko, co było w kraju, poddawało się  
władzom powstańczym z jednomyślnością, u nas  
rzadko spotykaną... Na czele wszystkich urzą-  
dzeń powstańczych, u steru całej administracji,  
stał „Rząd Narodowy“, rezydujący w Warszawie,  
który acz ukryty, znany tylko najwyżej stojącym  
kołom i czynnikom organizacji, posiadał posłuch  
zupełny na całej przestrzeni ziem polskich. Przed  
jego powagą uchylano głowę; spełniano bezwa-  
runkowo wszystkie rozkazy tego Rządu, zakomu-  
nikowane przez urzędników organizacji powstań-  
czej... Te rozkazy były bardziej szanowane,  
posiadały moc większą, niż wszystkie rozkazy  
cara, lub jego urzędników. Na zewnątrz przed-  
stawicielką Rządu Narodowego była pieczęć: przed  
tym symbolem władzy i zarazem idei, dla której



powojennymi warunkami uzasadniona. Może to wszystko przyjąć postać jakiejś nowej szkoły filozoficznej czy prądu twórczego, który podejmie się wszystko przeobrazić, wszystko przywracać, i będzie ostatnią nowością dnia, wobec której dzisiejsi rewolucjonści uchodzący będą za zakamieniałych zacofańców. Wszakże już sto lat temu przeżyła Polska i Europa taki okres reakcji zwanej restauracją, która wykołysała nowe prądy na starych motywach. Dopiero gdy te się wyraźniej zarysują, będziemy mogli mieć przybliżone wyobrażenie, jak będzie wyglądała nowa era, której wojna światowa dała początek.

*I. Moszczeńska.*

## Spór o Jaworzynę Tatrzańską.

Spór o tę wioskę, położoną w najbardziej uroczym zakątku etnograficznej Polski nie schodzi ze szpalt pism polskich i czeskich, z tą jedynie różnicą, że gdy Czesi, nie mający do Jaworzyny żadnych innych praw, prócz przemocy i niesprawiedliwego wyroku Rady Ambasadorów, bronią swego „stanu posiadania” solidarnie i wytrwale z dużym nakładem środków materialnych na urabianie opinii zagranicznej, część naszej prasy zaczyna sprawę Jaworzyny bagatelizować, a Gazeta Warszawska uważa ją za drobiazg, który niepotrzebnie rozdmuchano, psując temi ponowną sielankę miłości czecho..... narodowo demokratycznej. Gazeta Warszawska nazywa Jaworzynę tylko dużą wsią tatrzańską — niczem więcej i porównuje ją do tej solniczki, której wywrócenie przy obiedzie wywołuje niechybnie kłótnie między małżonkami. Lepiejby było zdaniem Gazety o Jaworzynie wcale nie pisać, pozostawiając sprawę jej przynależności państwowej... dyplomacji. Znamy tę receptę narodowo - demokratyczną, wie-

my, jakie skutki miało zastosowanie jej do sporu o Śląsk Cieszyński, wiemy, że targi i przetargi dyplomacji polskiej doprowadziły do oddania tej może najwięcej dla nas wartościowej pod względem narodowościowym i ekonomicznym dzielnicy pod jarzno czeskiej hakaty, która prędzej i skuteczniej wynaradawia dwustutysięczny lud polski, niż zdołały to uczynić wieki niewoli austriackiej.

I wiedząc właśnie o tem, nie możemy dopuścić, aby Jaworzyna zaprzepaszczone została w imię wątpliwej wartości traktatów handlowych i politycznych z Czechami.

Bo sprawa Jaworzyny, to nie jest tylko spór o wioskę tatrzańską.

Walka o Jaworzynę, to walka o przyszłość Tatr, o rozwój Zakopanego, to troska o zdrowie fizyczne tysięcy, a może i setek tysięcy, całych pokoleń polskich. Kto tego nie docenia, ten nie zdaje sobie zupełnie sprawy ze znaczenia gór, a w szczególności Tatr dla turystyki polskiej, ten nie wie, że turystyka lepiej, niż jakikolwiek inny sport, rozwija zdrowie fizyczne, a nawet moralne, daje tę radość życia, pewność siebie i rozwija tę gorącą miłość kraju, jaka cechuje właśnie narody górskie, lub te, które przynajmniej kilka tygodni letnich mają możliwość spędzenia w górach, napaść się ich widokiem, wdychać ich balsamiczne powietrze, kość niemi nerwy i płuca, nadszarpnięte pracą nadmierną w niezdrowych i do niemożliwości przeludnionych miastach i osadach fabrycznych. Górom swym zawdzięczają Szwajcarzy sławę narodu nigdy prawie niezwyrodniałego, bogatego, szczęśliwego i służącego innym narodom wzorem życia państwowego, etycznego i kulturalnego. Turystyce górskiej i sportom zimowym zawdzięczają Anglicy swe cnoty narodowe, swą stanowczość i wytrwałość, która nie pozwoliła im zwątpić w zwycięstwo nawet wówczas, gdy armaty niemieckie ostrzeliwały już Paryż, a Londyn tonął w mrokach ciemności nocnej, aby uniknąć

niesiono w ofierze wszystko, korzono się, widząc w owym symbolu wolę narodu. Instytucja Rządu Narodowego i jego organizacja władz powstańczych, sięgająca aż do dalekich kończyn Polski, wszędzie, gdzie płynęła krew, na niezliczonych pobojowiskach, są wyłącznym wytworem Powstania Styczniowego i godne są głębszych studjów.

Studja te wszakże spotykać się będą z przeszkodami nie do zwalczania, z powodu braku źródeł. Archiwa zaginęły, zniszczone przeważnie w chwilach porażek i niebezpieczeństw; a późniejsze nasze, bądź obce prace zachwasczały nieraz grunt badań i zaciemniały raczej, niż wyjaśniały niejedną kwestję, gdyż do badań przystępowano wielokrotnie z uprzedzeniem, niechęcią, przystępowały czasem lekkomyślnie pióra... Ktoś wyrzekł i może słusznie, że Powstanie Styczniowe wielu miało historyków, ale nie posiada historii.

Tak z małymi wyjątkami niema historii wy-czerpującej i bezstronnej owych wielkich, ofiarnych dni 1863 i 1864 roku. Pokolenia późniejsze, jeżeli zasiądą do jej opracowania, walczyć będą zmuszone z większymi jeszcze trudnościami, niż zastępy obecnych badaczy, gdyż maluczko, maluczko, zabraknie ostatnich świadków i uczestni-

ków tej doby dziejowej, którzyby mogli niejedną rzecz mylną, błędzącą w labiryncie legend, sprostować lub wysświetlić.

Z postaci, które bieg wypadków wyprowadził na widownię szerszą, co stanęły u lemesza sprawy narodowej, jakiś Plutarch polski w przyszłości mógłby wytworzyć szereg wzorów dla naszych młodych, najmłodszych pokoleń...

Nie chwila ani też miejsce bodaj nazwiska ich tu przytaczać; poprzestańmy jedynie na charakterystyce jednego z nich — Traugutta, którą pięknie pióro Stanisława Krzemińskiego, b. członek Rządu Narodowego (zmarłego dnia 29 listopada 1912 roku), tak skreśliło w liście, nie przeznaczonym, zdaje się, do druku: „W rozmowach z Trauguttem buchala od niego gorąca, rozrzucająca mistyka, w której Bóg, Polska, wiara w duszach ludzkich, konieczność zmartwychwstania splywały w jedno wielkie słońce, dziś chmurami zakryte, ale rzeczywiste, dla okazania swej mocy potrzebujące tylko czasu, tylko starcia się potęg wrogich między sobą... Nadzwyczajna pobożność tego Kościuszkowskiego, jeśli nie wyższego jeszcze uczuciowością serca, życie ascetyczne, wyzbycie się wszelkiego egoizmu, gotowość pój-



ombardowania z aeroplanów i zepelinów niemieckich.

Spójrzmy na drugi kraniec Europy. Gdy Moskwa podbiła już podstępem i swą przewagą liczebną Polskę i Finlandję, gdy zwyciężała Turcję, w górach kaukaskich dziesiątki lat bronił się jeszcze bohaterski Szamil na czele garści swych górali i nietylko o niedostępność ich gór — to samo wobec nowoczesnych środków wojennych nie ma rozstrzygającego znaczenia — ile o bohaterstwo i gorącą miłość i przywiązanie górali do cudnego ich kraju rozbijały się wysiłki stutysięcznej armji rosyjskiej, dowodzonej przez najlepszych generałów rosyjskich.

Góry są czynnikiem demokratyzacji górnych i uszlachetnienia dolnych warstw społeczeństwu. Gdy wejdziemy na szczyt tatrzański i spojrzymy na wesołe doliny i szumiące potoki, pierś ci rozpięta uczucie radości i dumy, żeś człowiek, że otworem przed Tobą stanęły tajniki i piękno przyrody, żeś wolny i bogaty, bo masz siły i zdrowie, które Cię wyniosły ponad obłoki, wyniosły nie tylko fizycznie w dosłownem tego znaczeniu, lecz i duchowo — czujesz się wówczas daleki i obcy tym wszystkim ludzkim zawiściom i „wspinaniom“ się w „górze“ kariery życiowej. Kto był w Tatrach i wspiąwszy się na szczyt niebotyczny, nie zznał tego uczucia, ten zdolny jest tylko pełzać, lecz nigdy nie zrozumie uczucia płaka, dla którego Ojczyzna, to nie jego izba, choćby bogata, lub pałac choćby przepyszny, lecz przestwór jego lasów, pól, łąk, rzek i gór, lecz niebo niby to samo, co gdzieindziej, a jednak takie inne i cudowne. Gdybyśmy nie mieli Tatr, gdyby co roku nie przyjeżdżali do nich nasi poeci, malarze i rzeźbiarze, nie mielibyśmy zapewne Tetmajerów, Witkiewiczów i Kasprovczów, nie mielibyśmy całej plejady pisarzy, malarzy i rzeźbiarzy innych, których twórczość, aczkolwiek niezawsze bezpośrednio z motywów tatrzańskich była czerpana, lecz którym cudna przyroda ta-

trzańska dawała natchnienie, natchnienie polskie, odrębne, rodzime.

Nie mam zupełnie pretensji do artystycznej twórczości, ale zrozumiałem to uczucie rodzimej odrębności Tatr od wszelkich innych choćby najpiękniejszych krajobrazów górskich, gdy bawiąc w Alpach Szwajcarskich i Tyrolskich, widząc góry bośniackie i kaukaskie i podziwiając ich ogrom i piękno, z głębi duszy wyrwał mi się za Bohdanem Zaleskim okrzyk: „U nas inaczej, inaczej, inaczej“...! Posiadanie Jaworzyny, to nie tylko posiadanie dużej wsi tatrzańkiej, jak pisze mylnie p. Smogorzewski w Gazecie Warszawskiej. Do wsi tej spadają doliny Białej Wody i Jaworowa, ze wsi tej rozchodzą się drogi, ścieżki i percie górskie na przełęcze: „Polski Grzebień“, „Rohatkę“, „Lodową Przełęcz“, „Zadnie Koperszady“, a z przełęczy tych prowadzą ścieżki na najwyższe szczyty tatrzańskie: Garluch, Łomnicę, Duży i Mały Lodowy. Posiadając Jaworzynę tem samem wejdziemy w posiadanie precudnej i największej w Tatrach doliny „Białej Wody“, doskonale nadającej się do budowy wil, schronisk i uzdrowisk dla piersiowo-chorych. Obfitość potoków górskich dałaby nam pierwszorzędną siłę dla budowy elektrowni, żywiczne i ogromne lasy lepiej, niż wytrzebione już z lasów Zakopane, nadają się do budowy letnisk — nie potrzeba ich do tego nadmiernie wyrąbywać, jak się to niestety dzieje na reglach pod Giewontem i Czerwonemi Wirchami, wystarczają wyręby niezbędne dla racjonalnej gospodarki leśnej. Przepiękna też i obfitująca w niezmierne lasy jest druga dolina Jaworowa, której posiadanie uwarunkowane jest też posiadaniem Jaworzyny. Do doliny tej mamy prawo nie tylko historyczne, geograficzne i etnograficzne — mamy do niej również prawo uczuciowe, musimy wejść w jej posiadanie w imię szanowania narodowych pamiątek, a taką musi być dla nas miejsce w górze tej doliny, w jej piętrze najwyższem, pod skałami

ścia na ofiarę, niejako rzucenie się na stos ofiarny — nadawały indywidualności mistyka charakter jakby świętego. Nie pozwalał urok ten, bijący na słuchacza, kazić tych białych lilij anielskich najłżejszym nawet pyłkiem powątpiewania, krytyki, zastanawiania się rozumowego... i jakaś trwoga we mnie, by mu mistycznego zachwyty nie odebrać, szczęścia wiary, jedynej niteczki łączącej z życiem — zamykała mi usta... Słuchałem i wielbiłem — miałem, jakby jasnowidzenie w jaskini... Słowo moje, ani niczyje nic by nie zmieniło, ani w losie wielkiego serca, ani w kolejach i nieuchronnem przeznaczeniu tych sił zbrojnych, które jeszcze z Bosakiem szczęśliwie trwały przez zimę w Sandomierskim — i przetrwały... Na takie postaci — mówi dalej Krzemiński — patrzeć trzeba nie jak na polityków oczyma polityka, ale jak na człowieczeństwo, do najwyższej potęgi podniesione oczyma człowieka. Takich postaci nie zna Europa; to też nie zna naszej męki, naszego pędu do Boga, jako twórcy, wodza, patrona i wybawiciela narodów, i naszej straszliwej za każdym zapędem tragedji...

„Był Traugutt może ostatnim poetą czynu Polski, okresu romantycznego... Taka światłość,

skoncentrowana w jednej osobie, były jakby ziemskim zjawiskiem... Ta twarz nieładna, nie uderzająca wcale rysami, piękniała w ogniu mistyki, która była religją nie tylko Polaka, ale i człowieka. Stąd takie wrażenie i takie zapamiętanie i pragnienie też, aby kiedyś jaki artysta słowa, szczerzy poeta, na historyku, poszukiwaczu prawdy zaszczerpiony, mógł znaleźć dość tworzywa do odtworzenia tej postaci poza obrębem polityki... postaci taką cześć wzbudzającej“...

Wpatrzywszy się w ową przeszłość walk 1863 i 1864 roku okiem tych, którzy na nie patrzyli, udział w tych pracach brali, przesunie się w naszej pamięci niemało jednostek pokrewnych duchowo temu tajemniczemu dyktatorowi, stanie przed nami nie jeden z tych pracowników, co wierzyli w bliski tryumf idei Chrystusowej w stosunkach ludzi i narodów, w polityce państw, iż z krwi naszej wówczas przelanej, z kości rozrzuconych na wielkich rumowiskach upadłej Polski powstają czasy nowe dla nas i dla świata...

Ufajmy, iż przyszłość urzeczywistni marzenia pokoleń, które żyły, walczyły, cierpiały przed półwieczem.

*Prof. Marjan Dubiecki.*



Jaworowych Turni, z których w lecie roku 1910 spadł Klimek Bachleda, nieśmiertelny przewodnik tatrzański, wzór skromnych cnót obywatelskich, cichy i ofiarny pracownik na polu niesienia pomocy zaginionym turystom. Jeżeli sława ma się z czasem, że tak powiem, zdemokratyzować, jeżeli wieniec wawrzynu już obecnie często pokrywa nie tylko czoła znanych i uznanych, częstokroć nawet zbytnio rozreklamowalnych wielkości, lecz i groby „nieznanych“ zabitych na polu walki żołnierzy, to tembardziej w demokratycznym polskim społeczeństwie należy się cześć i pamięć temu skromnemu chłopu polskiemu, który, mając już lat przeszło sześćdziesiąt, — wiek, w którym większość ludzi chodzi najwyżej na niedalekie spacerki, na pierwsze wezwanie swego naczelnika p. Marjusza Zaruskiego poszedł się wspinać poraz tysięczny zapewne, szukając zaginionego, lecz może wówczas jeszcze żywego studenta Szulakiewicza. Poszedł i zginął — zginął, choć mógł tego uniknąć, gdyby posłuchał swego naczelnika, który mu nakazał odwrót i znakami i krzykami. Nie posłuchał, łamiąc nawet wojskową dyscyplinę Tatrzańskiego Pogotowia Ratunkowego. Na wojnie za takie łamanie dyscypliny każe się żywych w imię zasady, lecz zabitym stawia się pomniki, a miejsce ich śmierci otacza się wieczną pieczołowitą opieką. Sądzę, że tembardziej powinien to zrobić „chłopski“ Sejm polski, bo wszak Klimek Bachleda był chłopem, był prostym biednym przewodnikiem tatrzańskim. Rozumiem to dobrze, że pamięć i cześć dla Bachledy zamaly to powód dla bezpośrednich rokowań z Czechami, ale uczucia te powinny być silną podniętą dla Sejmu, Rządu i społeczeństwa, aby w rokowaniach z Czechami na punkcie Jaworzyny byli nieustępliwi, aby zębami bronili tej prastarej ziemi piastowskiej, której posiadanie ma dla nas takie duchowe znaczenie, jakie miała dla gospodarczego życia polskiego walka o kilka kopalń karwińskich.

Bez Jaworzyny i dolin do niej spadających nie będziemy mieli dostępu do głównego łańcucha Tatr Wysokich — pozostaną nam tylko Giewont, Kozie Wierchy, Kosisko i Wołoszyn, jako góry całkowicie do nas należące, oraz Czerwone Wierchy, Świnica, Mięguszwieckie Szczyty, Duże i Małe Rysy jako szczyty pograniczne. Całkowicie poza sferą naszego posiadania pozostaną szczyty najwyższe Garluch, Lomnica, obydwie szczyty Lodowe, Baranie Rogi, Szczyt Sławkowski i t. d.

Wprawdzie góry te znajdują się poza naszymi granicami nawet w tym wypadku, gdy Jaworzyna wraz z wyżej wymienionymi dolinami i przełęczami do nas będą należeć, lecz gdy dzisiaj dostęp do nich utrudniony jest przez czeskie posterunki żandarmerji, umieszczone u ujścia wynienionych dolin nad Białką w odległości od 8 do 10 kilometrów od tych szczytów, to gdyby nasza granica państwowa biegła wzdłuż Polskiego Grzebienia, Małej Wysokiej, Rohatki, Lodowej, i t. d. Czesi musieliby postawić swe posterunki na nich, to jest na wysokości najmniej 2.200 metrów, lub tuż pod nimi, jeżeliby chcieli nam uniemożliwić wejście na Garluch lub Lomnicę.

Walka z Czechami o Jaworzynę nie jest zatem tylko sporem o dużą wieś tatrzańską. Rozumie to na szczęście nasza komisja delimitacyjna

z doktorem Goetlem na czele, która wytyczyła już prawie całą granicę z Czechami na Spiszu i Orawie i dlatego komisja ta zaoferowała Czechom dwie czy nawet trzy wsie inne w dolinach położone i bogatsze, aby tylko Jaworzynę z dolinami spadającymi do niej z głównego rdzenia Tatr dla Polski ocalić. Walka jednak jest uporczywa. Czesi są nieustępliwi. Dlaczego? Wszak dla nich Jaworzyna nie ma wielkiego znaczenia — doliny Jaworowa i Białej Wody i tak musimy im udostępnić wzamian za dostęp do Tatr Wysokich.

Podobnie jak zaciekle walka Niemców o Górny Śląsk, tak nieustępliwość Czechów w sprawie Jaworzyny ma dla nich znaczenie przede wszystkim negatywne. Im Jaworzyna nie jest potrzebna, mają gór własnych dosyć, schroniska ich i hotele przy jeziorze Szczyrbskiem i Popradzkim, w Westerowie w obydwuch Szmeksach, i u stóp Gerlachu oraz Lomnicy świeciły w roku ubiegłym pustkami, ale Czesi rozumieją lepiej, niż Gazeta Warszawska, znaczenie Jaworzyny dla polskiego ruchu turystycznego, wiedzą oni, że przyłączenie Górnego Śląska do Polski skróci drogę do Tatr, a z drugiej strony niezwykle rozwinięty ruch turystyczny wśród mieszkańców tej dzielnicy przysporzy sam przez się Tatrom nowych turystów i to przeważnie robotników górnośląskich, którzy zdemokratyzują turystykę, oddziałają zachęcająco na robotników z innych dzielnic Polski, przedewszystkiem z Zagłębia Dąbrowskiego i Krakowskiego.

Robotnicy ci wywalczyli sobie osmiogodzinny dzień roboczy, zdobyli kilkutygodniowe urlopy coroczne, niezawodnie więc już w najbliższych latach pociągną masowo do Tatr i wówczas dopiero turystyka nasza zdobędzie to fizyczne i moralne znaczenie wychowawcze, o jakim mówiliśmy na wstępie niniejszego artykułu.

Bez Jaworzyny nasza turystyka tatrzańska straci połowę swego znaczenia i uroku.

*Inż. Aleksander Ringman.*

## Ordery i odznaczenia.

Z nowym rokiem posypał się na cywilnych obywateli państwa polskiego istny grad odznaczeń i orderów. Przypominało to, niedawne tu jeszcze, panowanie carskiej Rosji. Wszakże wtedy z rozpoczynającym się rokiem obdarzano także orderami wiernych przyjętemu systemowi urzędników, z tą różnicą, iż dostawały się wszystkie, wyższe odznaczenia dygnitarzom rosyjskim. Czasem też jakiś biedny urzędnik polski, o mocno zgiętym karku, dostawał „Stanisława“, jako, że to był „najpodlejszy“ order, bo od ustępującej królewskiej polskiej przejęty; odznaki „Jerzego“ i „Anny“, jako b. wysokiej rangi, nie były dostępne polskim śmiertelnikom i to jest ich chlubą i zasługą. Powstało republikańskie państwo polskie, siermięgami zapelniał się sejm, zaczęto niemal gorączkowo wprowadzać społeczne reformy, wynagradzać warstwom fizycznie pracującym ich krzywdy wiekowe. Zdawać by się mogło, że Polska odradza się odrazu w formach nowożytnych, w gotowym ku temu rynsztunku wychodzi, jak Pallas z głowy Jowisza.



Tymczasem pomimo ludzących pozorów, jakby na eksport, dla zagranicznej opinii tworzonych, zaczynają pojawiać się tu i owdzie a nawet masowo występować objawy, które dać mogą wiele do myślenia, stanąc za dowody, że Polska niewiele się nauczyła, a także dawnych przeżytków nie zapomniała, nawet kurczowo ich się trzyma i stara się je wskrzeszać w tej czy innej formie. Co gorsza, nie chce sięgnąć do dawniejszej, b. wysokiej w swoich zalaniach tradycji obywatelskiej, ale naśladuje te czasy upadającej już niepodległości Rzeczypospolitej, kiedy jej wewnętrzne formy organizacyjne uległy skażeniu i zwyrodnieniu.

Jaskrawym tego dowodem jest ustanowienie i rozdzielanie orderu „Polonia restituta“.

Nowa Polska wyrosła z łez, krwi i cierpienia poprzednich pozbawionych już wolności pokoleń, z gotowości do poświęceń ich najlepszych jednostek, z całego szeregu gorących i bezinteresownych a bezimiennych czynów.

Jeżeli jest jakiś tajemniczy związek pomiędzy naszą współczesnością a zasuniętym w cień śmierci światem zagrobowym, w jakimś bolesnym zdumieniem patrzeć muszą duchy szlacheckich męczenników wolności na swoich potomnych, tak uroczyście za „cnotę obywatelską“ wynagradzanych. Oni, co częstokroć nie mieli nawet szmata ziemi rodzinnej na sen wieczny i kości swe roznosili po wszystkich wygnanych szlakach świata. Oni, co gorącą swoją wiarę nieśli jak płomień w coraz bardziej martwiejące społeczeństwo i spalali się w jego ogniu niedocenieni, zapomniani. Nie stałoby orderów, gdybyśmy chcieli wynagradzać ich zasługi, a zresztą, napewno by je odrzucili, ze spokojną wzdargą. Oni dążyli do czegoś więcej. Nietylko do pamięci w sercach, ale do podniesienia i rozplomienia tych serc, do ukazania coraz więcej kurczącym się i zamierającym duszom ideału obywatela. Dziś ogarnęła nas jakaś gorączka głośnego, publicznego wywoływania każdej rzeczywistej czy umniemanej zasługi i natychmiastowego jej wynagradzania, a czynimy to istic po dziennikarsku, z uwzględnieniem narzuconej nam przez bezkrytyczną prasę aktualności. Czyje nazwisko przepływa częściej przez szpalty dziennikarskie, a nie jest doszczętnie zdyskredytowane szkalowaniem partyjnym, w myśl zasady: „calomniez, calomniez il en restera toujours quelque chose“, ten już godny nagrody.

I utworzył się szczególnie trybunał. Dzieli on zasłużonych, według jego umiemia, obywateli na cztery klasy i umieszcza dowolnie w nich ich nazwiska. Coś zupełnie, jak dzienniczek nauczyciela szkoły średniej czy nawet początkowej, w którym stawiało się niegdyś stopnie uczniom, i to nawet nie całe cyfry, tylko jeszcze z ułamkiem. Dziś, na szczęście, nowoczesna pedagogja odrzuca tego rodzaju kwalifikowanie.

I wypadają z tego takie zabawne wyniki, że pierwszorzędni pisarze, którzy w czasach najcięższych budowali Polskę w duszach jej obywateli, co jest pono najważniejszym, dostali się do klasy czwartej, ostatniej, a poprzednie zapełnione są nazwiskami osób, których „zasługi“, czy też proste, często nawet nieudolne i na krótką metę obliczone dokonanie jakiegoś politycznego czy gospodarczego układu uznane jest za czyn wie-

kopomny. Następne pokolenia jednak albo szybko o nim zapomną, albo go wprost za niedogodny i za niedociągnięty uznają.

I jeszcze jedno. Ani ministerja, ani urzędy o formach z konieczności zmechanizowanych, ani nawet profesorowie, oddzieleni chińskim murem nauki od źródeł życia, nie są zdolni, z natury rzeczy, ocenić rzeczywistej, nie sztucznie zareklamowanej zasługi. Trzeba na to umieć zejść w głąb ludzkich istnień, poznać rzeczywistą treść życia społecznego, odczuć i zrozumieć te dążenia obywatelskie, które wydierają się żywiołowo z dusz jednostek, działających w warunkach najtrudniejszych, najbardziej ścieśnionych. Nagrodzono obywatelskimi odznaczeniami dwie kobiety, stojące na wysokich stanowiskach społecznych. Oddały one swoje majątki, a może część ich tylko, na cele wysokie, co więcej, dodały do nich swój osobisty trud i pracę. Kobiety polskie mogłyby być dumne, że wydały z pośród siebie tak dostojne jednostki, gdyby... gdyby obok tych nagrodzonych stanął jeszcze cały zastęp ubogich działaczek i nauczycielek, odkradających sobie godziny odpoczynkowe od ciężkiej, zawodowej pracy, na działalność społeczną i oświatową. Przypomnijmy sobie, wszakże to nie tak dawno, jakie 20 lat temu, jak działał w Warszawie t. zw. uniwersytet latający. Pod tą nazwą kryło się elementarne nauczanie dzieci z proletariatu, które przy znanym szkolnym systemie rosyjskim dziczały w zupełnej ciemności. Odbywało się to w najdalszych krańcach miasta, w zaułkach robotniczych, aby się przed czujnym okiem policji uchronić, a jednak wkraczała ona, zamykała nauczycielki w więzieniu lub na Sybir wysyłała, tak, że utworzył się, wskutek tego, szczególny typ ubezpieczenia społecznego. Zbierano fundusz na pomoc dla rodzin nauczycielek, które one najczęściej z pracy swojej utrzymywały, w razie gdy żywicielki zostaną uwięzione lub zesłane. Może już większość tych cichych ofiarniczek położyła się do grobu. Takie życie wyczerpuje prędko. A jednak może znalazłyby się wśród dawnych działaczy oświatowych jednostki jeszcze żyjące, których zwątlalą od ciągłego nauczania pierś należałoby ozdobić krzyżem „Polonia restituta“.

Wszakże choćby takie uroczyste, na szeroką miarę zakrojone obchody, złączone z pogrzebaniem zwłok nieznanego żołnierza, jakich nam dają przykład społeczeństwa Francji i Ameryki, państw, stojących na wysokim już stopniu rozwoju, świadczą, jak wielką cenę przywiązywać należy do cichych usług, jak dalece przyczyniają się one do ogólnego postępu cywilizacji. My, Polacy, posiadamy tak w przebiegu dziejów naszej wolnej państwowości, jak i w czasach porobiorowych, niesłychane bogactwo pierwiastków czystych i szlacheckich. Tylko u nas ludzie rzeczywistej zasługi tak przyzwyczajili się kryć w cieniu, że nie potrafią narzucić społeczeństwu swojej ideologii, wyręczają ich za to w tem „wynalazcy“ metod, nie mających z istotną treścią duszy polskiej nic wspólnego.

I. W. Kosmowska.



# LITERATURA I SZTUKA.

## KU NOWEJ SZTUCE.

(Nieco o futuryzmie).

### II.

Schopenhauer radził „myśleć dzisiaj to, co będzie ogólnie przyjęte i popularne za lat trzydzieści”. Wszystkie wielkie dzieła twórcze zawierają w sobie taką myśl przedwczesną, z której rodzą się niekiedy „nowe kierunki”. W epokach wyczerpania lub niemocy zjawiają się natomiast zapowiedzi bez dzieł lub wygodne nazwy „kierunków”, które nic nie znaczą, bo nie obejmują żadnej indywidualności twórczej. Tak było ze ś. p. „modernizmem”, tak jest dziś z natarczywym, ale jałowym wrzaskiem naszych futurystów. Cechuje ich beznadziejna niemoc, przy pretensjach budowania *innej* przyszłości.

Przed wojną, Jerzy Jankowski, zdolny pisarz-fantasta, znudzony szarem życiem niewoli, zabawił się nieszkodliwie w futuryzm. Ale jego „Tramwaje w poprzek ulicy”, obok dziwactw pisowni, ukazywały tu i owdzie błyski twórczego obrazowania, a w każdym razie nie unikały świadomości sensu. Jankowski miał ideologię mętną a ciężka choroba zamroziła mu umysł doszczętnie. Po wojnie, wśród mnóstwa ludzi, szukających w Polsce łatwego żeru rozgłosu, znalazła się gromada filuternych exhibicjonistów nonsensu, którzy rozpoczęli tłumne występy publiczne, obliczone z góry na skandal, a wywołujące raczej pogardliwe śmiechy. W hałaśliwych drukach ulotnych i „manifestach” powtarzają nieudolnie to, co ich doszło z Rosji i z innych krajów obcych. Analizowanie tych oświadczeń programowych miałoby wówczas rację bytu, gdybyśmy stali wobec niebezpieczeństwa szkodliwych „wpływów” i uwodzeń ludzi talentu. Wystarczy kilka cytata z pierwszego lepszego „manifestu” naszych futurystów: „Będziemy zwozić taczkami z placów, skwerów i ulic nieświeże mumie Mickiewiczów i Słowackich...” (*Wy* będziecie zwozili?... Na kolana, ciury grafomańskie, przed pomnikami Nieśmiertelności polskiej!) Czas opróżnić postumenty, oczyścić place, przygotować miejsca tym, którzy idą (t. j. Br. Jasieńskim, Watom, Sternom, Czyżewskim i Młodożeńcom)... Artyści na ulicę! ...Potop cudowności i niespodzianek. Nonsensy tańczące po ulicach. Sztuka — tłumem. Każdy może być artystą... Przedewszystkiem równouprawienie w stosunkach erotycznych i rodzinnych... Sztuka jest tworzeniem rzeczy nowych... Przekreślamy logikę, jako mieszczańsko-burżuazyjną formę umysłu... Przekreślamy książkę, jako formę dalszego dostarczania poezji odbiorcom. Poezja, jako sztuka operująca wartościami akustycznymi może być oddawana jedynie słowem. Książka odgrywa conajwyżej rolę nut... Pochwalamy życie, które jest wiecznym, mozolnym zmienianiem się — ruch, motłoch, kanalizacje i Miasto... Przekreślamy zdanie, jako antypoezyjny dziwoląg. Zdanie jest kompozycją przypadkową, spojona jedynie sł-

bym klejem drobnomieszczańskiej logiki. Na jego miejsce — skondensowane, ostre i konsekwentne kompozycje słów, nie skrepowanych żadnymi prawidłami składni, logiki czy gramatyczności, jedyne twardą, wewnętrzną koniecznością, która po tonie A domaga się tonu C, po tonie C tonu F i t. p.“ („*Jednodniówka futurystów*“). Kraków. Czerwiec, 1921).

Nie znizymy się, oczywiście, do szczegółowej dyskusji z ludźmi, którzy ludzą się, iż „każdy” z nich „może być artystą”, albowiem „przekreśla” logikę, książkę i zdania. Dyskutować można tylko wówczas, gdy rozmówca nasz nie opiera tak rozpaczliwie całej swej egzystencji „artystycznej” na dowolnym wysypaniu „na ulicę” słownika języka polskiego i patrzy z podziwem na swój własny „tańczący nonsens”. Niepodobna jednak powstrzymać się od wyjaśnień zasadniczego nieporozumienia, na którym roślinność móżgów futurystów buduje swe złydy. Stanęli oto bezradnie, bo bez duszy i bez talentu, przed mową polską i doszli do przekonania, że to bezkształtna, bezwyrazista masa, z której wolno lepić, co się komu podoba, to znaczy szeregi słów bez związku, bez rytmu i szyku. Tymczasem *chapeaux bas!* panowie futuryści, gdy stajecie przed pięknie skonstruowanym *zdaniem polskiem!* Stoi przed wami nie złom głupstwa, w którym chcecie odbijać, niby w zwierciadle, własną pustkę, ale — dziesięć wieków kultury narodowej. Każdy wyraz polski — to nie pusty dźwięk, ale historia dziesiątków, niekiedy setek lat przeżycia narodu, zmagania się jednostek i grup, to żywe pochodnie, które jedne pokolenia podają drugim, to strojne i ograne narzędzie, z którego każdemu wolno wydobywać nowe tony. Są słowa dostojne, które geniusz narodu ujawnił przed czterystu laty, a które dotąd nie straciły swej barwy, swych nerwów, swego zapachu, swej siły muskularnej. Są wyrazy, w których szumią jeszcze dęby czarnoleskie; są słowa, które zdolne są dziś jeszcze walić taranem prozy skargowej; są wyrazy, które nie przestały łasić się rozpustnymi szeptami komnat stanisławowskich; są inne, wszystkimi ogniami rozpalone, co biją we wrota niebieskie konradowym uczuciem; są znów tamte, co „wszystkimi, zda się, kręcąc księżycami” juluzsowymi, co suną na skrzydłach rajskich ptaków po przestworzach, albo „perła po perle ton leją w ucho”, albo są „jasnoczerwone, sztyletowości szepczące”. Olbrzymie, nieskończone a żywe bogactwo! Zresztą

Któżby, nie zajrzawszy  
W krainy ducha, wiedział, co to znaczy,  
Że jednych słów jest kolor w oczach krwawy,  
Inne — jakoby z tęcz wite przez tkaczy,  
A drugie — całą woń swoją wylawszy,  
Gdy przyjdą na ton wieszczowi w rozpaczy,  
To w długą rymu kładą się kolumnę  
Bezwładne — ciche — jako trupy w trumnę.

Każdy wyraz ma swą odrębną fizjonomję, więc może stać się przepyszny narzędnikiem dla talentu. Ten oto wyraz, pierwszy lepszy z brzegu, jest suchy jak badył, do szkieletu rozebrany; tamten wre krwią, tętni siłą czynu, temten „jak gwiazdy, ogromnymi płynię obrotu”; ten jest, jak „rozpalony, płynny metal”, a tamten lodem ścina



krw w żyłach; ten ma ciche, węzowe pełzanie, a tamten jest wbity, „jak nabój w tonące działo“; ten brzmi, jak gęźba słodka, co „cichutkiem dzwoni, ledwie dosłyszalnym echem“, a tamten drogę swoją „piorunami ściele“; na jednych wyrazach stoi „krzyż boleści“, w innych wszystkie narodu „wdzięki, chluby, chwały, dziwy w treść zbiegają, jak w kryształe rozpięzchnione światła fale“.

Tylko więc zupełny analfabetyzm estetyczny nie zrozumie, jakim cudem może być *zdanie polskie*, gdy je zbuduje istotny talent poetycki, co wyrazy niby szlifowane brylanty umie rzuć nagle, bez wysiłku, właśnie ich „wewnętrzna konieczność“ wyczuwając intuicyjnie. Jednym wyrazem przygotowuje odrazu szaty godowe, inne wypuszcza w skromnym odzieniu powszednim; jedne postawi mocno, jak kolumny, ponad którymi rzuci śmiały łuk sklepienia, inne znów uszykuje, niby w szyk bojowy, która otrzyma na czele wyraz podobny do wodza. Nada całości i barwę i dźwięk i konstrukcję dla tego właśnie, że zdanie u poety-twórcy nie jest „kompozycją przypaddingową“, ale *organicznym* objawem życia wewnętrznego.

Po różnych „Pam-Bamach“, „Ggach“, Szopkach krakowskich“, warszawskich i innych „Nożach w brzuchu“, w których orgia pisowni i krzykliwość bzdurnych wezwań miały pokryć rozpaczliwą pustkę i jałową wypocin pseudo-poetyckich, futuryści nasi zastanawiać się zaczęli w ostatnich czasach nieco poważniej nad tem, co stanowi tajemnicę *talentu*. Pod egidą najzdolniejszego z nich p. Anatola Sterna połączyli się z p. Jarosławem Iwaszkiewiczem, pisarzem grupy Skamandra, który z największym niepokojem szuka własnej drogi twórczej i założyli miesięcznik p. t. „Nowa sztuka“. W słowie wstępnem od redakcji niema już bredni „jednodniówkowych“, ale żądanie, aby pozostawić „cośkolwiek człowiekowi dzikiemu, który mieszka w każdym z nas i który krzyczy“. Nowej grupie „chodzi o taką syntezę sztuki, która wyzwoliwszy się z pętów metafizyczności, wyzbywając się balastu sentymentalności i symboliki, stałaby się wreszcie nadbudową, nie trzymającą się ściśle wzorów rzeczywistości i wystarczającą samej sobie jedynie na podstawie swych walorów: nowych, rozumowo niemożliwych do przedstawienia sobie przenośni i wartości formalnych, bez których istnienie treści empirycznej w dziele sztuki nie byłoby usprawiedliwione“. Na takim terenie zamierzeń możnaby już rozpocząć dyskusję, gdyby ta dała się potwierdzić wzorami takich nowych walorów. Niestety, po za przekładami z Apollinaire'a, Majakowskiego, J. Costeau, H. Tastevin'a i bardzo ciekawej rozprawy p. L. Chwistka o „zagadnieniach współczesnej architektury“, „wartości formalne“, utworów poetów—futurystów zmieniły się jedynie o „powrót do normalnej pisowni“.

Stało się jasnym, że pisownia... nie ma związku z talentem i że bez tego talentu nie może być mowy o żadnym „przesunięciu wartości twórczych i kompozycyjnych dzieła sztuki“.

Dziki człowiek, „który mieszka w każdym z nas“, musiał się w p. Jasieńskim np. niesłychanie ciężko namozolić, aby wydobyć takie „rozumowo niemożliwe do przedstawienia sobie przenośnie“: („Na rzece“):

„Na rzece rzece ce na cerze mrze  
pluski na bluzki wizgi  
w dalekie lekkie dale że  
poniosło wiosło bryzgi  
o trawy tarów żyrafy raf  
ren cerę chore o ręce  
na stawie ta wie na pawie staw  
o trące tren terence  
na fale fal len na leny lin  
nieczułem czołem czułem  
od doli dolin do Lido lin  
zaniosło wiosła mulem“.

Dla tych, którzy przypuszczają, że p. Jasieński z takim właśnie bagażem „poetyckim“ wybiera się na jeden z opróżnionych pomników po „nieświeżych mumiach“ Mickiewiczów i Słowackich, musimy przytoczyć uroczyste, wielkimi literami oznajmione zapewnienie manifestu futurystycznego, że „bezwzględna wartość dzieła sztuki waha się pomiędzy 24 godzinami a miesiącem“.

... Wasza „sztuka“ potrwa *miesiąc*? 24 *godziny*?... O, smętni zarozumialcy!

Jan Lorentowicz.

## Z NIEWYDANYCH FRAGMENTÓW

„PAMIĘTNIKA” \*) AMIEL'A.

30 stycznia 1861.

„Niedobrze jest być człowiekowi samemu!“  
— Zamykasz się zbyt z samym sobą, przez ascetyzm, pychę, nałóg czy też ciekawość. Potrzeba ci Boga i ludzi dla zachowania zdrowia duszy. O tem wiesz, lecz o tem zapominasz. Rumienisz się, kryjesz i zaciskasz rzemienie swego pancerza. Zły to środek: czemuż więc powracasz doń wciąż? Ze znużenia i z nieufności. Życie znaczy walczyć, życie znaczy oddać się czemuś. Lecz oto wysiłek męczy a doświadczenie odpycha. Wszystko łamie się, wszystko przemija, wszystko nuży i koniec końców człowiek przestaje pożądać, by oszczędzić sobie pomyłek lub rejterady. Zwłaszcza nabiera się obrzydzenia do samego siebie. Otóż zapomina się o tem, że życie jest próbą, że Bóg jest tutaj, że szczęście nie jest sprawą najważniejszą, że nie można podać się do dymisji z życia, że rozpacz jest grzechem i buntem.

20 września 1866.

Nuży trwać czterdzieści lat we własnym towarzystwie; dochodzi się do tego, że człowiek sam dla siebie staje się nudą i wlecze się, jak kula u nogi. Wzdycha się do tego, żeby stać się kimś innym. Ta skłonność jest, być może, argumentem przeciw nieśmiertelności duszy. Wieczność może się

\*) Niebawem ukaże się w opracowaniu p. Bernarda Bouvier'a nowe wydanie słynnego *Journal intime* F. Amiel'a (wydawcy: Crès w Paryżu i Georg w Genewie). Edycja ta zawierać będzie szereg nieznanych fragmentów pamiętnika, zamieszczonych w ostatnim nrze (z grudnia r. ub.) *La Nouvelle Revue Française*. Kilka charakterystycznych urywków podajemy naszym czytelnikom. (Przyp. Red.).



jawić, jako utrudzenie i mordoga, a nie jedynie, jako nagroda. Nieodparta potrzeba odświeżenia się i odnowy może doprowadzić aż do lęku przed tem, co trwa bez końca. Serce mieści w sobie to dziwaczne przeciwieństwo: pragnienie niezmienności i wstręt do niezmienności. Nienawidzi ono i wraz uwielbia niestałość; przeklina zmianę i błaga o nią. Chce i nie chce. Potwór niepojęty! mówił Pascal. Pustelnicy dochodzą nawet do przesycenia się Bogiem, jak ludzie świeccy do przesycenia się światem. Wszystko kończy się nudą. Nuda jest uniwersalnym spadkobiercą wszystkich naszych pragnień.

.....

Pasja szkodzenia sobie: o. jakże ją dobrze znam, tę subtelną namiętność, córkę przesadnego wstydu i sromotnej bezinteresowności! Idzie o to, żeby zdusić swe serce, zdławić instynkty, skryć swoją wrażliwość, nałożyć kaganiec i maskę na wszystkie swe chorobliwe czułe drgnienia, które mogłyby zawołać lub zapłakać, i człowiek przywyka do tej roli kata i znajduje w tem przyjemność. Uciałbyś sobie raczej język, niż przemówił i ramię raczej, niż wykonał jaki giest. Nawet sprawia uciechę zdwojenie splotu łańcuchów i jaknajsilniejsze przykręcanie śrub. Za wszelką cenę nie oddać się, nie dać światu żadnego dostępu do naszego palladium, zachować nietkniętą naszą dumę. Umrzeć w swej wyniosłej wieżycy, niezdobytej dla świata i jego złośliwości—to ślub istoty niepodległej, która umie być posłuszną jeno miłości.

Lecz toż właśnie miłość wzywa cię i uprasza, mówiąc:

Dość tymczasowości—zła jest dla ciebie; dość samotności—fatalna jest dla ciebie. Powinieneś stworzyć sobie własny kąt, by wylądować duszę, by nabrać ochoty do życia, by zmusić się do pracy serjo.

.....

11 listopada 1872.

.....

Demokracja jest formą rządu, gdzie większość rozkazuje a mniejszość myśli, gdzie władza jest w odwrotnym stosunku do inteligencji, gdzie prawo i siła są nie po tej stronie, co zastanowienie i zasługa. Fikcją prawną jest, że nad większością panować będzie rozum i sprawiedliwość, gdy tymczasem w istocie namiętność i przesąd są siłami dominującymi. Dobre zarządzenia i dobre prawa są też w demokracji szczęśliwym przypadkiem; zazwyczaj jest to psucie bazyliki papieru i dyletantyzm. Era demokratyzmu jest dojściem do władzy wszelkiej miernoty i tryumfem partaczów. Rezultat konieczny, gdyż tkwi on w samym pojęciu równości, zasady demokracji, i że ta zasada, uwielbiana przez zawiść i apetyty miernot, przetwarza się w tajną odrazę do wyższości. Demokracja też da zazwyczaj władzę nie najlepszym i najzdolniejszym, lecz tym, którzy potrafią jej się przypodobać lub ją opętać, kazać się cenić lub wysunąć się na czoło. Kręciccy, pochlebcy, spryciarze, maciwody będą jej bohaterami. Zdaje się, że z demokracją jest tak, jak z cnotą: potrzebna jest, ale aby nie zawiele.

.....

18 listopada 1872.

.....

Nie posiadam w sobie tego, co rodzi postanowienie, to znaczy tego złudzenia, które upiera się

przy swej woli i uważa ją za dobrą dlatego, że jest jego własną. Co do mnie, mam zawsze w sobie myśl uboczną, że przeciwne temu, co mam powiedzieć lub zrobić, jest, być może, równie prawdziwe lub równie dobre. Brak mi zarozumiałości co do swej osoby lub tego uporu woli, który zastępuje zarozumiałość. Nigdy nie podzielam natyle mego zdania ani mego stanowiska, bym mógł działać energicznie w ich kierunku. Nie mam najmniejszej oczywistości tego, co jest dla mnie odpowiednie, lub tego, co powinienem dla siebie uczynić. Moja przenikliwość, mój takt, moja śmiałość, moja gorliwość służyć mogą jedynie komuś.

.....

przełożył W. K.

## EKSPERYMENT TEATRALNY W POLSCE.

Polska publiczność i krytyka nie lubią eksperymentów w sztuce. Niedoceniane są w nich zdrowe impulsy rozwojowe, nieobejmowany jest ich ciężar gatunkowy w całokształcie ewolucji sztuki. Oceniane bywają zazwyczaj pod kątem doraźnego efektu, który—jak w każdym poszukiwaniu i dociekaniu — nie zawsze może być doskonały i ostateczny w wyrazie formy i treści.

W tego rodzaju niechętniej postawie względem eksperymentów sztuki tkwi przede wszystkim brak ukochania i entuzjazmu, brak tej pasji i tego wiecznego niepokoju, jakie winny ożywiać i podsycać wszelkie poczynania, ze sztuką związane. A wszak szukanie nowych dróg jest prawem i warunkiem rozwoju w sztuce. W twórczości artystycznej każda nowa epoka staje wobec olbrzymiej i niezgłębionej spuścizny przeszłości w zadumaniu i, trawiona gorączką poszukiwania, dąży do zdobycia i ujawnienia nowych form, nowych walorów treści, nowych wzruszeń i przeżyć, nowych uzasadnień twórczych, słowem do wyrażenia własnej nowej prawdy w nowym kształcie artystycznym.

Teatr, jako panharmonja sztuk, sprzęgający do wspólnej pracy najrozmaitsze siły, składające się na ogólne pojęcie sztuki teatru (aktorstwo, literatura, malarstwo, muzyka, taniec), a więc koordynujący w sobie szereg elementów często o rozbieżnych tendencjach i o różnej skali rozwojowej — jest zwłaszcza nieogarnionym terenem dla eksperymentowania. Nie dziw, że od szeregu lat stał się na zachodzie polem doświadczeń artystycznych, tak w dziedzinie sztuki aktorskiej, jak reżyserskiej, inscenizatorskiej i malarskiej.

W najbliższym nam wschodzie, w Rosji, gdzie wskutek tyranii politycznej ekspansja narodowej energii wyraziła się w sztuce i gdzie życie teatralne było olbrzymim tętnem, zwłaszcza w Moskwie i Petersburgu, eksperymentowanie w dziedzinie teatru miało nietylko łatwo zrozumiałe poparcie sfer artystycznych i krytyki, lecz i szerszego ogółu ukształconej publiczności. Rozwój literatury teatralnej sprzyjał tam wszechstronnemu wnikięciu w problemy teatru i wczuciu się w ich aktualne znaczenie dla rozwoju sztuki scenicznej. Mecenasostwo posiadaczy wielkich fortun umo-



zliwiała realizację najbardziej wyszukanych i kosztownych zamierzeń.

W odrodzonej Polsce, gdzie życie artystyczne powoli — z winy skłębionych koniunktur finansowych państwa — zakreśla coraz szersze kręgi, miejsce na teatr eksperymentalny być musi.

W ocenianiu pracy teatrów eksperymentalnych należy brać pod uwagę przede wszystkim dydaktyczną stronę ich działalności i ważyć ciężar gatunkowy poszczególnych wysiłków na szali ogólnej linii programu i całokształtu roboty, rozłożonej na szereg lat. W tej działalności mogą być pewne niedociągnięcia, pewne nawet błędy czy fałszywe kroki, które wszakże nie tracą nic na znaczeniu jako środki, dążące do stopniowego wyświetlania możliwości własnych sił i do ujawniania pewnych stron w metodzie pracy. Poszukiwanie dróg wyjścia z błędnego koła realizmu w sztuce odtwórczej i odnalezienie szeregu nowych metod interpretacyjnych — oto zadania, które teatry „studjo“ realizują powoli, miesiącami, latami.

Działalności teatrów eksperymentalnych nie wolno oceniać nieżyczliwie i złośliwie. Należy raczej wskazywać na to, że w sprzyjającej atmosferze wielkiej pracy wewnętrznej i życzliwej serdeczności i opieki z zewnątrz, drobne amatorskie komórki teatralne rozrastają się do imponujących rozmiarów i nierzadko są promotorami postępu w sztuce teatralnej danego kraju. Kult solistów i świetnych zespołów nie może wykluczać racji bytu teatrów opartych na zespole sił młodych, kształconych w specyficznym spreparowanej atmosferze intelektualnej i artystycznej.

Teatr eksperymentalny musi bowiem mieć najzupełniej swoisty, własny zespół. Świeżo powstała pracownia artystyczna „Elsynor“, która zademonstrowała swoje istnienie przez wystawienie niedawno „Pragmatystów Witkiewicza“, jest jako inicjatywa, jako zgrupowanie kilku ludzi z pośród coraz liczniejszych w Polsce protestantów przeciw starym teatrowi, ze wszech miar chwalebny objawem, lecz wątpić należy, by, oparta na dotychczasowych zasadach organizacyjnych, mogła osiągnąć trwalsze rezultaty artystyczne, aby mogła stać się silniejszym nurtem w olbrzymim morzu marazmu na polu naszej kultury teatralnej. Przytulenie się pod skrzydła jakiegokolwiek z przedsiębiorstw teatralnych, stwarza dorywczość i przypadkowość w pracy, stając się raczej jednym z wielu snobistycznych poczynañ, na jakie sobie owe przedsiębiorstwa pozwolić mogą. Teatr, jak wszelka sztuka, musi się przede wszystkim wyzwalać (o ile nie jest możliwe niestety, całkowite wyzwolenie) z pęt kapitalizmu, z jego dążeń i celów, do których wprzęgą sztukę indywidualna kalkulacja ze strony kapitalisty. Walkę tedy z przemocą kapitału rozpocząć właśnie winny przede wszystkim teatry artystyczne, eksperymentalne „studja“, wolne asocjacje ludzi idei. Teatr artystyczny „studjo“ musi właśnie wystąpić przeciw samej zasadzie organizacyjnej starego teatru, zasadzie przedsiębiorstwa handlowego. Jest to moment, kiedy rozpoczyna się walka dwu poglądów na sztukę, poglądów z jednej strony wykwitłych z wysokiego jej ukochania i wczucia w jej najgłębsze posłannictwo jako budzicielki w człowieku wszystkiego, co najbardziej ludzkie, co mówi o tem człowieczeństwie, które

świadczy o boskim pierwiastku w człowieku, z drugiej zaś — wynikłych z utylitarystyki sztuki pojmowanej jako masowa, nieustanna produkcja tanich wzruszeń dla hurtownych odbiorców — publiczności.

Jeżeli tedy teatr eksperymentalny ma mieć znaczenie nie jednodniowej efemerydy, wykwitłej z niezbyt jasno sklarowanego programu i wyraźnego niezadowolenia jednych, a ze snobizmu innych, lecz pragnie odegrać rolę stałego czynnika, wentylującego zatęchłą atmosferę życia teatru w Polsce, musi przede wszystkim mieć własny zespół i wychowywać go z tą oszalamiającą, namiętną konsekwencją, jaką posiadali wszyscy t. zw. reformatorzy i pasjonaci teatru. Reżyserja w tym teatrze musi dążyć nie do tresury, lecz do wychowywania aktora. Nie tyrania autorytetu reżyserskiego, lecz benedyktyńska cierpliwość i dydaktyka reżysera-twórcy musi panować wszechwładnie. W tym kierunku jedyną drogą w pracy artystycznej jest nie narzucanie aktorowi pewnych koncepcji i konwencjonalnych, umówionych znaków odtwórczych, lecz naprowadzanie go na odnalezienie dróg własnych, nie pokazywanie, lecz ujawnianie od wewnątrz, od duszy aktora i od jego uczucia, tych impulsów, które ma przeżyć, by je odtworzyć. Tak niesłusznie trywaliżowana u nas w nierzeczowych dyskusjach metoda „przeżywania“ polegała właśnie na przecięciu teatralizacji uczuć, (motyw odpowiadający t. zw. przecięciu „literackości“ w dziełach sztuki pisarskiej), na konieczności najbardziej naturalnego wczucia się w sztukę i w rolę — miast staroświeckiego „przedstawiania“ przeżyć i akcentowania ich środkami wyłącznie zewnętrznej rutyny i techniki teatralnej. Nie demonstrowanie uczuć, lecz logika w ich ujawnianiu, gdy słowo i gest stanowią pod względem czasu ostatni zewnętrzny plód wewnętrznego przeżycia, gdy zwłaszcza ujawnia się jako zaledwie częściowy wyraz tych wzruszeń, które owe gesty wyobrazają, gdy więc gra aktorska jest jeno konsekwencją finalną i uzewnętrznieniem stanu uczuciowego i wewnętrznego poruszenia duchowego — oto co tkwi w istocie systemu „przeżywania“. System ten nie uboży zewnętrznego wyrazu bogactwa techniki aktorskiej, lecz ją niepomiernie pogłębia, zwalczając mechanizację i banalną rutynę, występując przeciw pojmowaniu sztuki aktorskiej jako żonglerji technicznej, jako zewnętrznego wyrazu fałszu wewnętrznego, i stawiając na to miejsce prawdę odczucia, która tem samem także jest piękną i głęboką w wyrazie.

To też teatr eksperymentalny „Reduta“, jako dążący konsekwentnie po linii rozwojowej w chronologicznej proporcji względem prądów zachodnio-europejskich i rosyjskich, siłą faktu musiał rozpocząć swe wielkie dzieło odrodzeniowe, rozplanowane na szereg lat, od wewnętrznego przepracowania systemu „przeżywania“, który to system — wobec repertuaru naturalistycznego, od jakiego rozpocząć u nas należało dochodzenie do wielkiego polskiego repertuaru poetyckiego, — jest metodą jedynie i najbardziej wskazaną.

Jeżeli tedy wyłom w zmurszałych murach polskiej twórczości scenicznej ma być otwarciem wrót wobec nowej sztuki teatru, w jej istotnych, choć przez zachód już przeżytych, objawach, je-



żeli wierzyć należy w stopniowe odradzanie polskiego teatru, wysiłek cały trzeba skierować nie tyle ku jednorazowym eksperymentom dla znawców i malkontentnych smakoszy, lecz ku budowniczej pracy od podstaw, od nowej organizacji życia artystycznego w teatrze, od zniesienia dyktatury interesów przedsiębiorcy, od uszlachetnienia atmosfery zakulisowej, od zmiany metod pracy, od wprowadzenia w nią higieny i zapafu, od otoczenia teatru poczuciem wielkiego posłannictwa w sztuce, od wytwarzania mozolnego olbrzymiej ideologii teatru i ujawnienia jego filozofji.

Forma codziennego oddziaływania teatru na olbrzymie zbiorowiska ludzkie, forma ta, umożliwiająca cudowne napawanie tłumów wielką ideą, wielką prawdą i wiecznem pięknem, zmusza do najbardziej zasadniczego ustosunkowania się kierowniczych sfer inteligencji narodu względem zadań teatru, jego dróg i celów.

Zadanie teoretetyków, filozofów, psychologów i socjologów teatru jest, by umieć stanąć na stanowisku wiecznego, dziejowego człowieka wobec zgiełku dnia dzisiejszego, wobec tego zamętu pojęć i kolizji interesów, w jakich znalazł się teatr w Polsce zarówno, jak i gdzieindziej. Teatr nie traktowany jako zabawka lub nauka, lecz jako sprawa własnej duszy i własnego serca całego społeczeństwa, stać się musi jednym z czynników duchowego odrodzenia narodu. Teatr pojmowany nie jako konwencjonalne kuglarstwo i wytchnienie dla tłumu, lecz jako jedna z form poezji i sztuki, objawicielki piękna i prawd niezmiennych i odwiecznych, niezawodzącej nigdy, jako dostojne apostołstwo Norwidowego „Słowa Ludowego“, które przez wewnętrzny rozwój dojrzałości stanie się „Ludzkiem“, a co Wyspiański wśród analogicznych koncepcji teatru narodowego wyraża najdobitniej słowami Muzy:

„Ktokolwiek żyjesz w polskiej ziemi  
i smucisz się i czoło kryjesz  
z rękoma w krzyż załamaniem,  
biadasz — przybywaj tu, — odżyjesz!

W przestrzeń rzucimy wielkie słowa,  
tragiczną je ubierzem maską,  
ktokolwiek wiesz, co znaczy polska mowa  
przybywaj tu — odżyjesz Słowa łaską.“

teatr w Polsce stać się może spowiednikiem narodu i, nawzajem, kształtować życie narodowe po linii piękna. Takie pojmowanie posłannictwa teatru nie wyłącza olbrzymiej skali eksperymentowania, gdyż w sztuce teatru, jak i we wszelkiej innej, poza myślą, ideą i kształtem, w jaki myśl się wciela, równie decydującą rolę gra i owa nieuchwytna czynność wcielania, której koroną jest właśnie ostateczne wcielenie t. j. forma.

Kontynuując myśl Norwida, należałoby ustalić i w dziedzinie teatru owe wielkie słupy graniczne, jakie oddzielają dwie postaci sztuki, jako najwyższego rzemiosła i jako „najniższą modlitwę anioła“. Dopiero taką skalą mierzony teatr stać się może jedną z dźwigni historycznego i duchowego rozwoju w życiu narodowym.

Eksperymenty w teatrze polskim muszą właśnie iść przede wszystkim po linii pracy twórczej od podstaw organizacji teatru i organizowa-

nia o nim nowej prawdy w duszy samego społeczeństwa. W tym właśnie kierunku dążący teatr postawić powinien sobie za wielki cel: odrodzenie duchowe, zaniechanie błyskotliwej, farsowej koncepcji teatru i rozwinięcie działalności wychowawczo-artystycznej.

To też dążeniem t. zw. eksperymentów w naszym teatrze musi być: stworzenie nowych form, „gdzieby się polski duch raz wytlómaczył“ i gdzieby sztuka była „chorągwią na prac ludzkich wieży“.

Osiągnąć to można w dziedzinie wyłącznie polskiej twórczości dramatopisarskiej i na podstawie wyczucia, ujawnienia i wydoskonalenia wszystkich impulsów twórczych polskiego aktora i reżysera.

*Eugenjusz Świerczewski.*

## LITERATURA I SZTUKA U OBCYCH.

L. Nissim. „Gli „scapigliati“ della letteratura italiana del cinquecento“. Cyganerja w literaturze jest tematem, zawsze budzącym zainteresowanie, a autor „Rozwiczrzonych“ w literaturze włoskiej napisał książkę pouczającą i pożyteczną w przedmiocie dotychczas mało wyzyskanym. Prawdziwych „cyganów“ w literaturze włoskiej szukać należy w w. XVI i w początkach w. XVII, wśród takich pisarzy jak Pietro Aretino, Francesco Doni, Nicolo Franco, Ortensio Lando i in. Uważali oni literaturę za „wielką awanturę“, nie wymagającą nadmiernego wykształcenia, lecz tylko dużego sprytu życiowego i śmiałości. Buntowali się przeciw wszystkiemu a ta ich śmiałość prowadziła często na osobliwe drogi.

Byli prawdziwymi synami swej epoki, żywymi przykładami sprzeczności, uczuć i charakteru czasów, w których żyli. Urodzili się w różnych stronach Włoch — Lando w Medjolanie, Doni we Francji, Aretino w Arezzo, Franco w Benevento — niespokojne ich dusze zaś konieczność szukania chleba powszedniego zagnała do głównych miast państwa włoskiego.

Znajdujemy jednych przy boku wybitnych mężów, inni ujawniają upartą a śmiałą niezależność, skutkiem czego mają licznych wrogów. Niektórzy znów uprawiają rzemiosła korzystniejsze niż literatura. Jeżeli nie zgadza się z prawdą, że Franco był nauczycielem w szkole, albo Aretino — uczniem u introliigatora, to jednak Doni był napewno muzykiem i drukarzem we Florencji, zaś Lando doktorem i prawnopodobnie żołnierzem.

P. Nissim daje czytelnikowi obraz ich trybu życia, ich zajęć codziennych, ich pojęć religijnych i moralnych, często nieprzeciętnych, ich patriotyzmu który nie był naogół bardzo gorący we Włoszech „einquacentista“.

Nie zajmują oni wprawdzie zbyt wybitnego stanowiska w historii literatury, niemniej jednak ruch ówczesny, zasługuje na uwagę wszystkich, interesujących się literaturą włoską, a ci, co go wytworzyli, znaleźli w autorze książki niniejszej wytrawnego krytyka, który skreślił ich sylwetki na tle historycznem, bardzo sumiennie opracowane.

Abel Hermant. „Le Crépuscule tragique“. Książka niniejsza jest zakończeniem trylogii, podjętej przez p. Hermant'a z zamiarem kreslenia zatargów



moralnych, ewolucji psychologicznej pokolenia, które żyło między wojną r. 1870 a tylko co ukończoną zawieruchą wszechświatową. Głównymi bohaterami trylogji są: Filip i Rex Lefèbvre, — ojciec i syn — i w nich to analizuje autor walki moralne duszy francuskiej w ciągu ostatnich lat czterdziestu.

W pierwszym tomie trylogji „L'aube ardente“ skreślone są lata nauki Filipa w Oksfordzie, jego krótka sympatja do Nietzschego, wszystkie wielkie idee, które budzą w nim zapał. Następnie, w tomie drugim, autor wprowadza już syna i mamy zatarg między mistycznymi tendencjami syna a wolnomyślnością, poniekąd pogańską, ojca — zatarg, który streszcza dobrze różnicę dwóch pokoleń.

W „Tragicznym zmierzchu“ zbliżamy się do wojny — zatarg duchowy między ojcem a synem już nie istnieje. Rex, oczywiście, idzie na wojnę, wraca szczęśliwie i dwaj mężczyźni rozpoczynają na nowo wspólne życie a Filip ma wnuka, którego będzie wychowawcą, wnuka, który nosi w sobie tajemnicę nowych pokoleń i symbolizuje wszystko, co jest tajemniczego w przyszłości.

Trylogja kończy się tem, czem się zaczęła — podróżą do Oksfordu, tej kolebki kształcenia umysłu i charakteru. Dla Filipa ta podróż, to pielgrzymka.

P. Hermant w tych trzech książkach poruszył zagadnienia moralne, religijne i literackie, które nurtowały w końcu wieku dziewiętnastego i na początku wieku obecnego. Te zagadnienia i sposób ich ujęcia przez autora, nie zaś intryga miłosna dosyć luźna, prowadzona niedbale, linią awanturniczą — przykuwają uwagę czytelnika. Trylogja może być zaliczoną do najlepszych dzieł utalentowanego pisarza — są w niej kartki, jak np. obraz początków wojny w „Tragicznym zmierzchu“ lub opis odjazdu Rexa na pole bitwy, jego czasowe zniknięcie a potem powrót, które pozostaną nazawsze w pamięci.

**Gerhart Hauptmann.** „Anna — ein ländliches Liebesgedicht“. Najnowszy utwór autora „Dzwonu zatopionego“ i „Hanusi“ jest poematem w dwudziestu czterech pieśniach, pisany nierymowanymi heksametrami, a opiewającym dzieje miłości młodocianego poety i artysty, Lutza Holtmanna do Anny Wendland. Spotkał ją na wsi, u krewnych, pokochał i zyskał wzajemność; później dowiaduje się od ciotki, Julji, nie domyślającej się uczuć siostrzeńca, i od samej Anny, że uroda jej podbiła młodzieńczego chłopca z sąsiedztwa, ucznia, który z rozpaczny odebrał sobie życie. O względy Anny stara się nadto znieprawiony brat ciotki Julji i zamiary swoje urzeczywistnia. Gdy hańba stała się wiadoma, rodzina, która dała przytułek Annie — bardzo bogobojna a nawet fanatyczna — wzywa „brata Toblera“ i następuje zacięta walka o duszę dziewczyny; protestancki fanatyzm religijny zwycięża — Anna odradza się duchowo i rehabilituje się w oczach świata, poślubiając „brata Toblera“, wdowca z sześciorgiem dzieci.

Ten „Sielski poemat miłości“ jest poematem istotnym, jakby punktem kulminacyjnym ewolucji talentu Hauptmann'a, kresem w drodze, jaką wielki ten talent przebył od materialistycznego naturalizmu swoich pierwszych dzieł w kierunku twórczości mistycznej. W ostatnich latach etapami na tej drodze jest powieść „Der Narr in Christo — Emmanuël Quint“, dramaty „Der Weisse Heiland“, wierszem rymowanym pisany „Indipohdi“, utwór pisany białym wierszem, oraz powieść „Der Ketzor von Soana“, w której ustępy najpiękniejsze są poezją w prozie.

Poemat najnowszy, o którym mowa, porywa czytelnika, szczerem gorącym uczuciem, jakim jest przepojony.

## Z piśmiennictwa.

*Profesor dr. Władysław Leopold Jaworski:* „Z zagadnień polityki światowej“. Kraków 1921. Wydawn. Tow. Ekonomicznego w Krakowie; str. 144.

Ukazała się w druku najnowsza praca prof. Wład. Leopolda Jaworskiego, p. t. „Z zagadnień polityki światowej“, zawierająca 50 stron treści zasadniczej, resztę zaś pracy wypełniają załączniki. W tych 50-ciu stronach prof. Jaworski usiłował rzucić światło na znaczenie Konferencji Waszyngtońskiej, na doniosłość sprawy odszkodowań oraz układu wieśbadeńskiego. Sprawy te nie są dostatecznie przez nasz oceniane, a szerszy ogół nawet się nimi nie interesuje. Prof. Jaworski omówił je w sposób zwięzły, jednocześnie uposażając treść swej pracy w uwagi niezmiernie ciekawe i budzące głębokie refleksje.

Prof. Jaworski nie pisał o samej Konferencji Waszyngtońskiej, lecz z powodu jej zwołania, z powodu tych okoliczności, które spowodowały zgromadzenie się przedstawicieli wielkich mocarstw po tamtej stronie oceanu. Na tle zapowiedzianego programu prac tej Konferencji autor obrazuje sprzeczności interesów wielkich mocarstw, polityczne i gospodarcze, wyjaśnia przyczyny przesilenia gospodarczego, jakie opanowało świat cały, wskazuje na związek Konferencji ze sprawą odszkodowań i Oceanu Spokojnego, analizuje ewentualności, jakie mogłyby wyniknąć z uchwał Konferencji Waszyngtońskiej. Prof. Jaworski uważa, iż kwestja rozbrojenie o tyle będzie mogła być załatwiona na Konferencji, o ile między mocarstwami dojdzie do porozumienia w sprawie Oceanu Spokojnego. Cel Konferencji Waszyngtońskiej—to osiągnięcie gwarancji trwałego pokoju. Czy cel ten mógł i został osiągnięty? Przebieg Konferencji mógł przekonać wszystkich optymistów, iż tam, gdzie chodzi o wielkie ambicje narodowe i państwowe mocarstw, ich tendencje ekspansywne, nie dadzą się one uregulować w drodze układów, porozumień. Słusznie zapytuje prof. Jaworski: Czy Japonja może się zrzec koniecznej ekspansji, bez której musi się zdusić w ciasnych granicach? Czy Japonja zechce cofnąć się na stanowisko, jakie zajmowała przed wojną. Jak więc pogodzić ekspansję wielkich mocarstw z idyllicznym współżyciem narodów świata? Prof. Jaworski trafnie zauważył, iż Konferencja Waszyngtońska przyniesie kontynentowi europejskiemu tylko na jakiś czas pokój, nie przyniesie jednak spokoju.

Kwestję odszkodowań omawia prof. Jaworski zarówno z punktu widzenia międzynarodowego, jak i z punktu widzenia interesów Polski.

Autor podkreśla, iż porozumienie Francji z Niemcami w sprawie odszkodowań nie może powstać bez wpływu na interesy Polski i że jakiegokolwiek zmianie ulegnie sprawa odszkodowań, Polska nie może spoglądać na jej ewolucje obojętnie, że wszelkie ewentualności, jakie związane są z rozwojem sprawy odszkodowań, winny Polskę żywo interesować. I tutaj zwraca prof. Jaworski szczególną uwagę na ostatnie wystąpienia publicystyczne Keynes'a oraz na



układ Wiesbadeński. U nas Keynes'a przyjęto nazywać agentem niemieckim i sądzi się, że taka opinia co do osoby tego wybitnego ekonomisty angielskiego panuje conajmniej również we Francji. Tymczasem ostatnie wystąpienia Keynes'a w prasie amerykańskiej były pilnie czytane we Francji i nie kto inny, tylko Tardieu w „Temps“ niektórym jego uwagom przyznawał zupełną słuszność i gorąco je pochwałat.

Keynes przemawiał za przekreśleniem długów zagranicznych, zaciągniętych przez Francję w Ameryce, wykazywał, że wzrost eksportu niemieckiego, od którego zawisa wypłata odszkodowań, nie grozi ruiną eksportowi angielskiemu i że zasadą gospodarstwa światowego winiem być liberalizm. I kto wie, czy artykuły Keynes'a nie oddziaływały przekonująco na Francję, która przez układ Wiesbadeński otworzyła szeroko wrota importowi niemieckiemu. Sam Układ wiesbadeński pod wstępem politycznym oznacza pierwszy krok ku umożliwieniu kollaboracji dwóch narodów do niedawna śmiertelnie poważnionych, pod względem zaś gospodarczym—oznacza on zwycięstwo liberalizmu gospodarczego i bezsilność etatyzmu.

Sprawa odszkodowań nie będzie załatwiona wyłącznie w drodze układów zainteresowanych rządów, lecz najbliższy udział w jej likwidacji wezmą również strony zainteresowane. Układ wiesbadeński jest świadectwem, iż we Francji zwyciężył zmysł praktyczny, dzięki któremu tam zrozumiano, iż zapłata w gotówce może stać się niewykonalną, podczas gdy zapłata w naturze może przetrwać wszelkie kryzysy walutowe. Załączniki zawierają wyciągi z Trak-

tatu Wersalskiego, dotyczące odszkodowań, oraz artykuły Keynesa i odpowiedzi Tempsa na jego artykuły w umiejętnym przekładzie pp. prof. Jaworskiego, d-ra. M. Lilienthala i Witolda Krzyżanowskiego.

Ostatnia praca prof. Jaworskiego, wydana przez Tow. Ekonomiczne w Krakowie, niewątpliwie żywo zainteresuje nasze sfery polityczne, a laików w sprawach polityki światowej pobudzi do głębszego wniknięcia z jej najbardziej żywotne w chwili obecnej zagadnienia.

Leon Fączewski.

## Książki nadesłane do redakcji.

*Marjan Szykowski:* Adam Mickiewicz Budowniczy prawdziwej Polski. Nakładem H. Altenberga we Lwowie 1922 str. 176.

*Józef Ujejski:* Antoni Malczewski. Poeta i poeta. Warszawa 1921. Nakładem księgarni Trzaska - Evert i Michalski str. 448.

**Wydawnictwa Gebethnera i Wolffa.**

*Edward Ligocki:* Płonące Reims. Opowieść współczesna. str. 222.

*Jan Powalski:* Nad Jeziorem (Sielanka Wielkopolska z XIII wieku). str. 310.

# RUCH PRAWNICZY I EKONOMICZNY

## KWARTALNIK

Organ Wydziału Prawno-ekonomicznego Uniw. Poznańskiego, poświęcony nauce i życiu prawnemu i ekonomicznemu.

Zawiera w każdym zeszytcie oprócz działu rozpraw z dziedziny prawa i bieżących zagadnień gospodarczych bogaty dział bibliografii i sprawozdań krytycznych z literatury polskiej, francuskiej, angielskiej, włoskiej i niemieckiej; zamieszcza regularnie przegląd prawozdawstwa w Polsce oraz przegląd orzecznictwa Sądu Najwyższego dla wszystkich trzech dzielnic; daje w stałym dziale kroniki ekonomicznej, przegląd rozwoju poszczególnych gałęzi gospodarstwa narodowego na całym obszarze Rzeczypospolitej Polskiej.

Prenumeratę tylko roczną w wysokości 2.100 mk. przyjmują, oraz na żądanie wysyłają zeszyty pojedyncze i okazy w cenie 750 mk. wszystkie Księgarnie w Polsce. Rocznik pierwszy „Ruchu Prawniczego i Ekonomicznego” za rok 1921 (na wyczerpaniu) można nabyć w cenie 2.000 mk. w Administracji.

**Adres Redakcji:** Poznań Zamek pokój № 9, tel. 37-16.

**Adres Administracji:** Poznań, Księgarnia św. Wojciecha pl. Wolności 1, tel. 36-13 (konto czekowe w P.K.O. 200032).

## TYDZIEŃ POLSKI wychodzi w sobotę.

Prenumerata „Tygodnia Polskiego” wynosi **kwartalnie 900 mk., miesięcznie 300 mk. za granicą podwójnie.** Cena pojedynczego numeru **80 mk.**

Conto czekowe P. K. O. Nr. 1750.

**Cena ogłoszeń za wiersz jednoszpaltowy milimetrowy 60 mk.** — Strona ogłoszeniowa dzieli się na cztery szpalty.

ADRES REDAKCJI i ADMINISTRACJI: WARSZAWA, ORDYNACKA 5 m. 4.

Redakcja otwarta od 5—7 wiecz.: administracja od 9—2 pp. codziennie — telefon 286-17.

Zastępstwo na Kraków i Małopolskę: „Ruch“, Kraków, ul. Szczepańska 9.

Wydawca: TOWARZYSTWO WYDAWNICZE „ZJEDNOCZENIE“ Redaktor: Leon Kozłowski.

Oddrłto na maszynie rotacyjnej drukarni „Praca“, Kredytowa 2 4. Telefon 60-70.